

Łukasz Orbitowski, *Horror Show*
Kraków 2006

© Copyright by Łukasz Orbitowski

Wydanie I

Printed in Poland

ISBN 83-89911-41-8

Projekt okładki
Anna Ostoya

Redakcja i skład
Kinga Surówka, Tomasz Charnas, Marcin Hernas

Strona internetowa książki
<http://www.ha.art.pl/horror/>

Wydawnictwo i księgarnia
Korporacja Ha!art
pl. Szczepański 3a, 31-011 Kraków
tel. +48 (12) 4228198, 0606303850
mail: korporacja@ha.art.pl
<http://www.ha.art.pl/>

Druk
PW Stabil
ul. Nabelaka 16, 31-410 Kraków

Główny dystrybutor
Espace
ul. Kolejowa 15/17, 00-325 Warszawa
tel. +48 (22) 6316637, +48 (22) 6320468

Łukasz Orbitowski

Horror Show

Kraków 2006

Rozdział pierwszy,

w którym Giełdziarz znajduje
układankę, Szpad traci pracę,
a Wuj poucza Zygzaka

„Najdroższy dilo”, pomyślał Giełdziarz, „daj mi fety na kreskę”. Ostatnia piątka powędrowała do kieszeni. Pomyślał o Grubym, potworze z osiedla, który za młodu wpadł do gara ze spidem. Chodź no popatrzeć, jak Grubego nosi. Porządny człowiek śpi, a ten pulchny sukinsyn w pomarańczowych spodniach kręci się jak kawa w młynku. „Dobry Boże piratów komputerowych, daj mi jego siłę”, myślał Giełdziarz, „w ten piątkowy wieczór, gdy nawet stolec jest z ołowiu”.

Rynek. Czerwone słońce. W domu płyty do spakowania. Za tydzień – Monika. Lewy dowód w kieszeni. A tutaj – szklana kula. I nie mów, że nie wiesz, o co chodzi. O ciszę w głowie, tę ciszę z wnętrza dzwonu. Giełdziarz patrzył na Sukiennice, na blizny po maszkaronach,

i starał się wprowadzić w dobry nastrój. To zabawne, jak przelewa się czas na mieście. Nie wracasz do domu, bo nie czeka cię tam nic miłego.

– Jasna cholera, Dziędziarz?!

Znów ten mały gość.

– Tak, Dziędziarz.

– Jak biznes?

– Jak zawsze. W poniedziałek rozbijasz się taksówkami. W piątek nie idziesz do sracza, bo żal rozmieniać piątki.

– Jasne, jasne. Piątka rozmieniona to piątka wydana.

– Nie inaczej, stary. Siewka.

„Rób na giełdzie, poznasz ludzi”, mówili.

Giełdziarz miał wrażenie, że przychodzi do niego tylko jeden człowiek, raz duży, raz mały, raz kobieta, raz stary metal w spranej koszulce Saxon – jeden wylazi z drugiego, dopada stoiska i, kupując płytkę, wciska nudną historię. Potem idziesz przez miasto i ten człowiek pojawia się znowu. Wypływa z tłumu jak kropla z wrzodu.

„Możesz myśleć, że masz wielu znajomych, ale to zawsze jeden gość”, powiedziano kiedyś Giełdziarzowi i ten śmiał się z tego. „To jest tak: kupi płytkę za dwie jawki, nie? Potem drugi raz, trzeci. I potem ma cię za kumpla. Opowiada. Pyta, co u ciebie. Bo jesteście, kolego, współnikami w małym draństwie. A ten kretyn myśli, że was to zbliża”.

„Piątka rozmieniona to piątka wydana”, pomyślał Giełdziarz i ruszył do publicznego sracza. Przeszedł środkiem Sukiennic i powędrował w dół. „Mogliby wyłożyć złotem całe miasto, a tutaj zostanie ten sam smród”. Rozmienił piątkę i ruszył na poszukiwanie wolnej kabiny. Uchylił drzwi i dostrzegł półprzytomnego chłopca gustownie ozdobionego brązowymi plamami wymiocin. Z nosa zwiślał mu perłowy śpik.

Giełdziarz stanął w kolejce. Miał przed sobą niemieckiego turystę we flejersie i spodniach z siłowni, studenciaka i starszego faceta wspartego na lasce. Temu śpieszyło się najbardziej – przestępował z nogi na nogę, nadymał wargi i giał się wpół.

– Zawsze mówię, że gdyby każdy miał broń, najwięcej morderstw byłoby w publicznym sraczu – odezwał się student.

– Bardzo możliwe – burknął Giełdziarz.

– No popatrz, przecież każdy życzy tu każdemu śmierci.

Z kabiny wymknął się zabiedzony gość i Niemiec zajął jego miejsce.

– Nieprawda – rzekł Giełdziarz – co najwyżej ja tobie.

Studenciak pomyślał chwilę i wybuchnął śmiechem.

– To dobre, dobre, człowieku.

– Zobacz – kontynuował rozbawiony Giełdziarz – można by pójść w drugą stronę. Wprowadzić limity. Na dobrą sprawę każdy przyzwoity syn naszego narodu jest władny oddać stolec w minutę. Pytasz, czy z podcieraniem? No, z podcieraniem. Więc, kolego, montujemy wyrzutnię na muszli i jak gość się nie wyrobi – srrrru! Wylatuje przez zamknięte drzwi i ląduje z gównem na plecach. Albo obrotowe ostrze, które ucina, co trzeba, ale...

Niemiec wyszedł. Studenciak położył rękę na kłamce i patrzył na Giełdziarza z bezbrzędnym zdumieniem.

– Wówczas cwaniaki nie wkładałyby fiuta do muszli – dokończył Giełdziarz. – No sraj, koleś, póki jeszcze można.

Studenciak zniknął. Giełdziarz obrzucił spojrzeniem pozostałych. Facet o lasce patrzył na niego poważnie. „Założę się, że jak wyjdzie, będzie rozpowiadał o zepsuciu młodzieży. To jeden z tych, którzy wiszą nad tobą w tramwaju i prawie liżą cię w głowę, aż nie wstaniesz. Ale jak trzeba wsiadać do tramwaju, mają turbiny w tyłkach”. Facet uśmiechnął się słabo, jakby wiedział, że Giełdziarz o nim myśli.

– Będę się streszczał – powiedział.

Studenciak wyszedł. Facet o lasce pokuszył się do środka. Wzrok Giełdziarza zatrzy-

mał się na jego szerokich plecach. Gość musiał być żołnierzem czy kimś podobnym. Kogo to obchodzi? Stoi nad grobem i pluje na trumnę.

Giełdziarz oparł się o drzwi i usłyszał, że facet wymiotuje. Giełdziarz przeżył wiele imprez i widział wiele paw: były pawie nieśmiałe i drobne, pawie, które nie chciały się skończyć, pawie leguminowe, pawie „szybkie piłki”, granulkowe pawie, glonowe pawie, pawie wodne, pawie maratony i wreszcie pawie do spodu, kiedy żołądek wywraca się na lewą stronę. Ale gość po drugiej stronie wyrzygiwał chyba wszystkie grzechy świata. Wymiotował w rytm szarpnięć i nie chciał skończyć. Wszyscy się rozeszli. Facet przestał i oparł się o drzwi. Giełdziarz się odsunął.

Facet wyszedł powoli, wsparty o lasce, z głową schowaną między ramionami.

– Dziadek, dobrze tam? – rzucił Giełdziarz, ale nie czekał na odpowiedź. „Mógłby chociaż spuścić wodę”, pomyślał i wszedł do kabiny. Zdjął plecak i zabrał się za pasek od spodni. Sięgnął po spłuczkę, starając się nie patrzeć do muszli. Ale zerknął i natychmiast puścił pawia na kafelki.

W kiblu pełzały setki białych robaczek. Przypominały ożywione niedopałki. Biała, zbita masa spieniła się na wodzie jak wielki

kożuch na mleku, spływała po muszli, a pojedyncze sztuki wiły się na desce. Giełdziarz odwrócił się, chciał wybiec, ale wyrósł przed nim facet o lasce. Zatarasował wyjście. Rozchylił wargi i Giełdziarz dostrzegł robaka w kąciku ust. Stworzonko wiło się gwałtownie. Facet strącił je językiem.

„Teraz powinno przelecieć mi przed oczami całe życie”, pomyślał Giełdziarz.

Facet pogmerał w kieszeni i wydobył zdjęcie. Podsunął Giełdziarzowi pod nos. Zwyczajny polaroid. Fotografia przedstawiała chłopaka na tle kamienicy. Chłopak miał czarny T-shirt i spodnie dresowe.

– Znasz go? – zapytał. Odsunął się, by zrobić Giełdziarzowi przejście, pokazać, że nic mu nie grozi.

– Jezu Chryste – wyszeptał Giełdziarz – w życiu go nie widziałem.

Szpad uśpił synka i zmagał się ze światem komputerowej pornografii. Uruchomił przeglądarkę, wklepał 'young teens' i czekał. Nic. Spróbował 'perfect tits', 'asian', 'bondage', wreszcie przy 'dildo' wyskoczył link i Szpad pomyślał, że to pierwszy sukces tego dnia. Znalazł piwo w lodówce i trzask otwieranej

puszki zbiegł się z zerwaniem połączenia. Szpad zaklął i włączył wyszukiwarkę. 'Young teens + free + mpg'. „I proszę. Milion linków”.

Cztery pierwsze prowadziły do stron płatnych i Szpad je szybko zamknął. Trafił na portal pełen odnośników. Kliknął na trzy. „Nie można wyświetlić strony”. Kolejny spis. Nastolatka z brzuchem jak po porodzie i stożkiem siana na małej głowie. Inna w kostiumie kąpielowym. Tyle. Po zabawie.

Kuba wiercił się w łóżku. Szpad zerknął na zegarek. Dochodziła dwunasta. Strony wyskakiwały jak diabły z elektronicznego pudełka, a „instant access” mienił się pikselowym złotem. Gwiazdy, kolory nieba i słońca nachodziły na biusty z silikonowego disneylandu. Szpad wiedział świetnie, że gdzieś jest lepszy świat, odległy o cztery dolary i kartę kredytową. Zamknął wszystkie strony, zrestartował komputer i gdy włączył go ponownie, pojawiła się tylko jedna. 'Busty pornstars'. Machają do ciebie z ekranu, ich cipy są owocowo słodkie, więc kolego, płac i do dzieła, bo koniobijstwo to jedyna rozrywka, na jaką wciąż stać Polaka. „Musisz wiedzieć”, czytał Szpad między wierszami, „że kobiety dzielą się na dwa rodzaje: te, które możesz mieć i te, których nie. A czy chciałbyś mieć dziewczynę, która leci na Szpada?”.

Ale wyrok już zapadł. Szpad pociągnął łyk piwa i zapalił czterdziestkę. Pomyślał, że jego życie da się opisać poprzez papierosy – w zawodówce palił davidoffy, wówczas niebotycznie drogie, ale nie zużywał ich dużo. Poszedł do liceum, przrzucił się na czerwone setki marlboro, a gdy przyszła praca (roznośenie mleka, pieprzony interes z wstawianiem o trzeciej i dobijaniem się do drzwi), wraz z nią zjawily się L&M-y. Potem Agnieszka, pierwsza dziewczyna, na poważnie i w ogóle, więc dzielił się z nią tym, co miał i trafił na półkę zarezerwowaną dla Sobieskich. Potem Agnieszce urósł brzuch, ślub klepnięto, a Szpad przrzucił się na czterdziestki. Tyleż sztuk za sześć złotych, w czarnej, pękatej paczce. Można pomyśleć, że trzymasz usta w kominie.

Nie trzeba dodawać, że mleczarnię trafił szlag i Szpad musiał sobie jakoś radzić. Jak każdy.

Agnieszka także miała swój sposób. Ani jego, ani jej nie był dość dobry, by nakarmić dziecko. Szpad kochał swojego brzdąca. Zabawne, jak człowiek się zmienia. Rozmowę o skrobance pamiętał, jakby odbyła się wczoraj. Te cudowne ogłoszenia w prasie: „Ginekologia – wszystko”. Ksiądz może sobie gadać, aż językiem dotknie pępka, ale naród ma swoje zdanie i Szpad nie wahałby się ani chwili. Aborcja, wy-

rostek – jeden chuj, trochę tkanki. Nie zmienił zdania do dziś.

Pochylił się nad łóżeczkiem i pomyślał o drodze, jaką przewędrowała ta mała istota.

– Najpierw skakałeś mi z jajka na jajko – powiedział – potem, cwaniaku, prześcignąłeś innych Ogonkowych Skurwieli, a droga z brzuszka tutaj była jak otwarcie piwa.

Usiadł i dodał:

– Oczywiście z perspektywy tej nory.

Z żalem spojrział na wypite piwo. Czuł senność. Agnieszka powinna niedługo wrócić. Najczęściej zjawiała się o drugiej. Szpad próbował zasnąć bez niej. Wpadał w płytki sen i budził się gwałtownie wraz z jej powrotem. Potem nie mógł zasnąć, leżąc dwie godziny na wznak i wędrując wzrokiem za cieniami samochodów na suficie, aż Kuba zaczynał koncert i Szpad wstawał. Agnieszka mogłaby pomylić go z butelką.

Uruchomił starą grę. Wszedł w jej świat bez entuzjazmu. Biegał szarymi korytarzami, strzelał, ginął i odradzał się w ten sam bezbarwny sposób. Porzucił rozrywkę wraz ze szczękiem zamka. Podniósł się z krzesła i podszedł do żony.

– Dochodzi pierwsza – powiedział.

Agnieszka zrzuciła płaszcz i usiadła na brzegu łóżka. Natychmiast opadły z niej siły. Podniosła pijane oczy.

– Skurwysyn taksówkarz.

– Co takiego ci zrobił, ten taksówkarz?

– Prosiłam, by zawiózł mnie na róg Kazimierza i Opolskiej – odgarnęła włosy z czoła.
– A on na to, że takiego rogu nie ma. Ja, że tak, bo wysiadam tutaj co drugi dzień, a on, kurwa, że nie. I tak w kółko, aż stanęło na flaszcze. No i dałam mu na flaszkę, a on wysadził mnie tutaj i rechotał, cholerny kutas, przecież wiedział, że jestem pijana.

– Zakład jest zakład.

– Powiesz mi teraz, że postąpiłbyś tak jak on?

– Zakład jest zakład.

– Myślałam, że nie weźmie tych pieniędzy.

– Taryfiarz? – roześmiał się Szpad.

Agnieszka spróbowała wstać. Oklapła na łóżko.

– Też byś się śmiał, co? Właśnie o ten śmiech mi chodzi!

„Dziewczyna tak pijana, że nie wie, gdzie mieszka, jest zabawna”, chciał powiedzieć Szpad, ale ugryzł się w język.

– Z jego punktu widzenia to jest śmieszne. A zakładanie się z taryfiarzem o to, co gdzie jest na mieście, to głupi pomysł.

– Rozczarowałam się – powiedziała Agnieszka bez śladu rozbawienia. – Ciebie to też cieszy. Wszystkich to bawi. Jesteś takim samym skurwysynem jak twój ojciec.

Szpad wstrzymał oddech, jakby dostał szybki cios w spłot słoneczny.

– Śpij już.

Agnieszka zrzuciła buty i owinęła się w kołdrę.

– Nie śpij w ubraniu! – rzucił z kuchni.

Przesiedział przy komputerze jeszcze pół godziny – wędrował przez wyludnione statki kosmiczne, walczył z makabrycznymi wytworami genetyki, a przez kroki, strzały i wybuchy słyszał, jak Agnieszka rozbiera się w półśnie i mości sobie miejsce. Wreszcie zgasił monitor, wypalił papierosa na balkonie, rozebrał się do slippek i wśliznął się pod kołdrę. Agnieszka drgnęła.

Leżał i myślał o swoim ojcu – dobry Boże, otocz opieką tę zapitą duszę – i o rowerze, który ojciec połamał mu, całkiem na trzeźwo. Rower był czerwony i piękniejszy od wszystkich samochodów. Ojciec był silny i potrafił wygiąć ramę i koła w ósemki. Matka mówiła, że cały się zasapał.

– Kocham cię – szepnęła Agnieszka.

Oto giełda w Balicach. Wejdzmy przez bramę, dwa zeta dla ochroniarzy. Mijamy paru chłopców patrzących we wszystkie strony. Jeszcze kilku stoi za wejściem i patrzy na ulicę. Pilnują, czy nie zbliża się nalot.

Widzimy rzędy stoisk przecięte trzema alejkami. Wiatr wybrzusza ogrodowe parasole – szare, bez względu na poprzedni kolor. Wiruje śnieg. Dobiega nas szum, owiewający niczym zimne powietrze. Falują dźwięki z dziesiątek głośników, kroki, rozmowy.

Pójdźmy naprzód. Muzyka za piętnaście złotych. Podrabiane ciuchy. Radia samochodowe, telewizory, wieże stereo, niekiedy większe od budki klozetowej przed papieską pielgrzymką, telefony w gablotkach, futerały, portfele, papierosy, części do głośników, łańcuchy, kobieta z psem, a dalej straszy gość z trzema kotami w wiklinowym koszu.

Zastanówmy się razem, jak rozróżnić giełdźiarza od jelenia? Jeleń jest młody i stoi z piratami. Czuje się już pewnie, ale wciąż patrzy na boki. Starzy giełdźiarze to inna glina. Stoją pewnie, kiełbaski przepijają herbatą i wódką. Wiedzą co robić, gdy pojawi się zagrożenie. Bo prawie wszystko tutaj jest trefne, a nikt nie płaci podatków.

Powędrujmy w stronę hali, przed wejściem szerokie stoły z gramami komputerowymi. Przyjrzyjmy się uważnie, tu nie ma ani jednej płyty. Same zafoliowane okładki i nowości wypisane grubym flamastrem na targanej wiatrem kartce. Ale gdy zapytać czatującego przy stoisku chłopaka, najpierw zmierzy nas wzrokiem, po-

tem zniknie i wciśnie w rękę kopertę z płytą. Żadne z nas nie podniesie ręki. Transakcja na wysokości kieszeni.

Dach hali wygląda jak w wymarłym statku kosmicznym. Niżej prawdziwy pchli targ. Przestrzeń zgniata ludzi. Wędrujemy chwilę w tym ulu, sprawdzamy, czy portfel wciąż wypycha kieszeń i zawracamy. Wędrujemy z hali na lewo i skręcamy wzdłuż jej muru. Tutaj stoją odpadkowcy.

Giełda składa się z trzech części. Pierwszą stanowią stoiska na zewnątrz hali, drugą ciżba ludzka w środku, a trzecia to niedobitki, rozkładające małe skarby w najmniej uczęszczanym miejscu. Niektórzy znaleźli się w nagłej potrzebie i wyprzedają, co mieli pod ręką. Inni tworzą pozory małego przedsiębiorstwa, licząc, że pewnego dnia trafi się rzecz warta grubych pieniędzy: stolik-pierwszy stopień, z którego widać słońce.

Giełda jest dla biednych i bogatych. Biedny odda dwie dychy na stoisku z kompaktami, bogaty wróci z telefonem za połowę ceny, nowym radiem, a jak się pokręci, dorwie wódkę w kartonie i najprawdziwszą kłamkę z pełnym magazynkiem.

„Trzeba być zdrowo popierdolonym by kupić tutaj gnata”, pomyślał Giełdźiarz, ruszając na obchód stoisk. „Kula z każdej sploty

wygląda inaczej. Chcesz mieć broń, z której posłano kogoś do aniołków? Świetnie, wspomagasz kombinatorów i jeszcze zwiększysz statystykę w psiarni. Chwała ci, bezmózgi patrioto”.

Z papierosem i herbatą powędrował między stoiska. Najpierw odwiedził Baškę, dziewczynę kumpla, którą posadził tu z litości, ale chronił, jak tylko potrafił. Stała, tupiąc nogami. Październik. Zimno.

– Herbaty?

Ujęła kubek i pociągnęła ostrożny łyk.

– Coś się dzieje? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Jakby coś się działo, zwijaj się, kochanie – uśmiechnął się. – Coś mi strzyka, że może być cieplutko.

– Warszawa? – ściszyła głos.

– Nie, Duch Święty. Tylko te dwie rzeczy nas rozpierdola.

– Powiedz Czarnemu.

– Właśnie tam się wybieram.

Zostawił Baškę z herbatą. Maćkowi tylko pomachał. Nie potrzebował ani wsparcia, ani ochrony. Szesnastolatek, cwany jak stara kurwa. Nie zagrzeje tu miejsca. Lubi powietrze dobrych klubów i trafi do nich, nie dziś, to jutro. Na giełdę krzywi się, jakby mu pod nosem śmierdziało. Ale stoi, bo wie, że musi,

i za to Giełdziarz darzył go dziwnym rodzajem sympatii. „Maciek”, myślał, „to prawdziwy sukinsyn. Nie zrobi ci koło pióra dla czystej frajdy. Boże, chroń mnie od ludzi uczciwych – ze skurwysynami jakoś dam sobie radę”. Taka była modlitwa Giełdziarza.

Szpad stał przy turystycznym stoliku i jadł kiełbasę. Giełdziarz podał mu rękę.

– Leci?

– Jak trup na dno. Popatrz, jaki dzień.

Giełdziarz podniósł oczy na stalowe niebo.

– Zaraz lunie. Prędeż, niż ja pogonię płytę.

– A ile zeszło?

– Dwunastka. Popatrz, jaki syf. Po coś to, na przykład, wziął? – Szpad wskazał na płytę pewnego krakowskiego zespołu, grającego od dwóch dekad, jednego z tych, które zaczęły od punka, by na stare lata wylądować w koszyku dla spokojnych trzydziestolatek.

– Wyszło, to wziąłem. Wszyscy klną.

– Widziałem w telewizorze – rzekł Giełdziarz – jak ta babka... Kara Janowska, tak?

– Coś takiego.

– Nawet była szefowa tej, no, Federacji Antypirackiej.

– Było coś takiego – zgodził się Giełdziarz.

– Rozpaczala, że jej płyty nie schodzą, bo już są spiracone. Ciekaw jestem, czy słucha własnych nagrań.

Szpad parsknął śmiechem i trącił Giełdziarza.

– Mam pomysł. Zbierzmy wszystkie płyty, jak nie zejda, i wyślijmy tej babce, co? Z listem, że nawet tutaj nie schodzą. Wyobrażasz sobie podpis? „Rozczarowani złodzieje własności intelektualnej”.

Giełdziarz myślał obrazami. Wyobraził sobie kilkaset płyt ściągniętych z całej giełdy, tę ogromną paczkę na wadze pocztowej i wreszcie minę babeczki, gdy otwiera ją, wyjmując list i pięćdziesięcioletnie serce zgasłej rockmenki zaczyna wściekle tłuc. Śmiał się tak, że łzy nabiegły mu do oczu. Klepnął Szpada w bark, poradził, żeby jednak coś pogonił i poszedł w stronę odpadkowców.

Z dobrym okiem można dorwać skarby. Trzeba umieć je wyłowić z płataniny kabli, tonerów, obudów, drukarek i innego dziadostwa, rozrzuconego niedbale na szarych kartonach. Giełdziarz szedł powoli i zwrócił uwagę na chłopaka, który najwyraźniej pomylił giełdę elektroniki z pchlim targiem. Dzieciak był szczupły i zabiedzony. Kucał nad kupką skarbów.

Miał świecznik, parę talerzy, stary zegarek na rękę, trochę sztućców i układankę bez obrazka, wrzuconą do foliowego worka. Giełdziarzowi spodobał się świecznik. Z małą fantazją można przerobić taki na lampę i sprzedać drożej niż za pięć złotych.

Giełdziarz dał chłopakowi piątkę, zabrał świecznik i spytał.

– Skąd masz te graty?

– Tak się do mnie przykleiły – wyjaśnił i Giełdziarz wiedział wszystko.

To rzeczy z domu starego człowieka. Chłopak był niedobrym wnuczkiem albo cwaniakiem, przetrząsającym szuflady staruszków. „No... nie można obłowić się na tym biznesie i prędzej czy później chłopak wpadnie”, myślał Giełdziarz, „co obrobi to jego”. Schował świecznik i wrócił do przyjaciół, na swoje stoisko.

– Czarny – powiedział – mam ci do przekazania, że Duch Święty cię rozpierdoli.

Czarny wzruszył ramionami. Miał sztruktury, sweter, spod którego wychodził kołnierzyk koszuli i kurtkę typu złodziej samochodów. Bardziej przypominał inżyniera niż handlarza. Patrzył ponuro w niebo.

– Na razie męczy mnie pogoda.

– Idzie jakoś? – chciał wiedzieć Giełdziarz.

Czarny handlował horror rockiem, metalem, punkiem, zdany na łaskę i niełaskę wiernej, lecz szczupłej i ubogiej klienteli.

– Sami apacze.

Giełdziarz spojrzał pytająco.

– No wiesz, „a, patrzę”.

Tym razem Giełdziarz się nie śmiał.

– Widzę, że miłość kwitnie – zagadał Artur, gruby facet z sygnetem.

– Tak to widać?

– Jesteś trzeźwy – rzekł Artur.

– Poskładałem się.

– Kiedy wpada?

– Za tydzień.

– Zawsze mówiłem – Czarny smętnie przetrząsał karton z płytami – że dziewczyna na odległość to najlepsze, co można mieć. Nie kłóć się o pierdoły. Spotykasz się rzadko i cieszysz się nią jak nikim innym.

– A potem zaczynasz mieszkać i jest rozczarowanie – zauważył Artur.

– Ja tak nie chcę. Myślę o niej poważnie.

– To czemu nie przyjeżdża częściej? – spytał Czarny.

– Ma studia i pracę w Katowicach. Studia raz na dwa tygodnie.

– Co studiuje?

– Chyba marketing. No i ma okienko co drugi weekend. Wtedy się zjawia.

Nastała chwila ciszy. Do stoiska Czarnego podszedł zabiedzony metal. Poprzetrząsał płyty, dał zmiętą dwudziestkę i odszedł zgarbiony w stronę stoiska z gramami.

– Metale – rzekł Artur – subkultura zwycięzców.

Ale Czarny go nie słuchał. Zgarnął płyty do torby pod stolikiem. Wystarczy rzut oka – ze stolików znika towar, kolesie nikną między samochodami. Część policjantów spóźnia się, napotyka tylko puste stoliki. Czasem płyta leży na środku. Oryginał – w sam raz, by wziąć w rękę, podrzucić jak złotą dolarówkę, spojrzeć po ludziach i zrozumieć: panocku, nie macie wy scenścia.

Artur dalej stał z pornolami. Gliniarz podszedł, przejechał wzorkiem po rzędach kaset, spojrzął na Artura, jakby ten zatłukł mu ojca w bożonarodzeniowy poranek i odszedł.

Giełdziarz wbił ręce w kieszenie, splunął niedopałkiem, zdążył pomyśleć, że cały ten dzień przypomina gówno i dostrzegł otoczone stoisko Szpada. Szpad uniósł ręce w górę, wyglądał jak połączenie gwiazdy rocka z kubańskim terrorystą. Mówił gwałtownie. Giełdziarz widział, że kłapie szczęką, próbuje opuścić dłoń, wreszcie sięga po dokumenty. Biedny facet. Do wczoraj miał dziecko i pijącą żonę. Dzisiaj doszła sprawa. Giełdziarz był spokojny. Szpad go nie wyda. Dlatego rozrzucamy po stolikach tylko sprawdzonych kumpli.

Po nalocie giełda wygląda jak wyludnione miasto. Policja obstawiła wyjścia. Pochwycili

Szpada i zatrąbią w mediach o sukcesie porównywalnym ze znalezieniem grama fety w agencji towarzyskiej. Wiatr gna papiery po asfalcie, a hala straszy czarną mordą. Pośrodku syfu Giełdziarz starał się odnaleźć drogę do domu.

Jest nalot, nie ma giełdy, ciapeńki. Krakowska policja nie wejdzie, bo to zwykła mysz kościelna i kupić ją można za parę groszy, plus sukces w rodzaju zaciągnięcia Szpada do paki. Warszawka za daleko. Wpadają. Psują święto. Chuj strzelił w bombki, choinki nie będzie.

Pustka aż wyje. Wyje jak żona Szpada odciągnięta od kurka z gorzałą.

Giełdziarz chciał iść do domu. Gdy Warszawka robi blokadę, nikt nie wyjdzie bez rewizji, a Giełdziarz miał trochę towaru w bagażniku i nie zamierzał go tracić tylko dlatego, że płyta kompaktowa w sklepie przy rynku kosztuje jedną dziesiątą najniższej pensji. Włóczył się po opustoszałym placu i patrzył na nielicznych handlarzy, którzy zostali z legalnym towarem. Nalot psuje interes jednym i drugim. Ale najszybciej zmyli się odpadkowcy. Zostawili nagą przestrzeń, tekturę i blachę. Giełdziarz szedł przez ich królestwo.

Doszedł do wniosku, że przestępca, oszust – nazwijmy go jak chcemy – jest koleśkiem, który chce normalnie żyć. Ma rodzinę, wrzeszczącego stworka w łóżeczku i nie stać go na

robotę za osiemset złotych. Taki facet wpada najprędzej, patrz Szpad, czyli pół roku proszenia, miesiąc handlowania. Do widzenia, stary.

Giełdziarz wędrował powoli przez rewir odpadkowców i dostrzegł układankę pozostawioną przez chłopaka. Zbyt mało warta, by wracać z nią do domu, dość cenna, by się po nią schylić. Podniósł ją i zaczął się zastanawiać, ile może mieć elementów. Wrócił z nią do samochodu.

Podjechał do bramy. Policjanci tworzyli czarno-niebieską zaaferowaną plamę. Metala, który kupił płytę od Czarnego, wyrzucił na lewą stronę.

– Co wieziemy, kolego?

Giełdziarz nie znosił, gdy mówiono do niego „kolego”. Gliniarz kazał wyjść mu z samochodu i podnieść fotele. Rzucił pośpieszne spojrzenie.

– Co masz w bagażniku?

– Graty – wyszczerzył się Giełdziarz.

– Proszę otworzyć.

Gliniarz schylił się nad bagażnikiem. „Odam pół życia, że poszedłeś na glinę, bo chciałeś zostać Donem Johnsonem”, myślał wesoło Giełdziarz, zaciągnął się i zajrzał policjantowi przez ramię. Bagażnik przypominał rozbabrany ul.

– Co jest w tym worku?

– Pranie – wyjaśnił Giełdziarz.

Gliniarz pokiwał głową. Worek był czarny i miał sto litrów. Gliniarz wyciągnął spodnie, potem podkoszulek, wreszcie majtki, które natychmiast wrzucił z powrotem.

– Co, draska? – zapytał wesoło Giełdziarz. „Najwyżej przymknie mnie na cztery osiem”, dodał w myślach. Ale gliniarz zatrzasnął bagażnik i pokazał drogę. Giełdziarz wyjechał i włączył się do ruchu. Klął na straconą giełdę, ale z każdą minutą czuł się coraz lepiej. Był do przodu o układankę i ocalił trzysta krążków bez pudełek, ukrytych pod górą prania.

– Co, draska? – powiedział do siebie i wyrzucił niedopałek przez okno.

Giełdziarz stał nad układanką i nie wiedział, co począć. Pił drinka po polsku, wódkę z sokiem. Dziesiątki kartoników zajęły stół. W środku stała popielniczka. Ściszył muzykę. Usiadł, pomyślał o stu sprawach, za które powinien się zabrać i podniósł element z fragmentem nieba. Pogładził go. Doszedł do wniosku, że układanka powstała na zamówienie. Ktoś zrobił zdjęcie, powiększył i oddał do punktu. Taka usługa kosztuje kilkadziesiąt złotych. Możesz, kolego, sfotografować nagą matkę i dać kumplom do układania.

Palce Giełdziarza zanurzyły się w morzu kartoników. Przez opuszki przebiegł dreszcz, jakby dostały się pod strumień zimnych opiłków. Przyjemne na swój dziwny sposób. Giełdziarz zaczął rozkładać kartoniki tak, by żaden nie leżał na innym i wszystkie były zwrócone w jedną stronę. Gdy skończył, zrobił nowego drinka i zachodził w głowę, co przedstawia obrazek.

Zdjęcie zrobiono w ciemnym pomieszczeniu. Giełdziarz wychwycił trzy jasne plamy. Pierwsza najpewniej stanowiła okno, druga twarz (Giełdziarz wyróżnił fragment oka, linię ust i rzadkie włosy), a trzecia – najprawdopodobniej ręce, ale kto zaręczy, czy zdjęcie przedstawiało jednego człowieka?

Reszta była plątaniną ciemnych barw. Giełdziarz długą chwilę próbował rozpracować choć dwa elementy. Zaczął od nieba, wydało mu się najłatwiejsze. Po kilkunastu minutach osiągnął sukces – postrzępiona chmura odsłaniała białe słońce. Cztery kawałki. Nie złoży tego i za dziesięć lat.

„Tak poza wszystkim, co mnie to obchodzi?”, myślał, bębniąc paznokciami w szklankę. Miał przecież świecznik, tak na oko z początku wieku, przyzwoicie posrebrzony. Lubił takie graty. Zresztą nie ma lepszego interesu niż handel antykami. Jeździsz po wsiach, wynajdujesz graty, kupujesz za grosze albo fiaskę

– i dalej, na magazyn. Wynajmujesz studenciaków, płacisz czwórkę za godzinę i po tygodniu masz piękny mebel – pogonisz w Desie albo gdzieś. Odrobina wiedzy, odrobina sprytu.

Telefon. Giełdziarz był zły, żał zostawiać układankę i przyjemne myśli. W słuchawce usłyszał Szpada.

– Puścili mnie.

– Wspaniale – Giełdziarz nie znosił takich rozmów.

– Mam problem.

Giełdziarz opadł w fotel. Zatęsknił za papierosem. Paczka została przy lodówce.

– Co ci zrobili?

– Kolegium.

– Teraz nie ma kolegów. Nie martw się. Takie sprawy lubią się pociągnąć i parę latek, jak będziesz dobrze ściemniał. Jesteś na bezrobociu, więc nic ci nie zrobią. Dziecko też atut.

– Pięć tysięcy co najmniej.

– Bzdura. Pewno wyślą cię najpierw do kuratora.

– Nie mam dziesięciu lat.

– Jest kurator dla dorosłych – wyjaśnił Giełdziarz – i uderza właśnie do takich jak ty, z problemami. Gnij się jak smark na wietrze, to ci nawet robotę załatwi, może sprawę umorzą.

– Nie o to chodzi. Kolegium przeżyję. Ale płyty idą do eksperta.

– No idą.

– I ten ekspert ocenia, czy są pirackie, czy nie. I bierze trzydzieści pięć od sztuki, oryginał nie oryginał. Płyt jest dwieście. Siedem tysięcy.

– Poważna sprawa – rzekł Giełdziarz, rozdrażniony prośbą Szpada. Załatw komuś robotę, to ci się wywdzięczy. Przyjdzie we włosiennicy pod twoje drzwi.

– Nie sypnąłem cię. Jakbym sypnął, odpuściliby.

– Serdeczne dzięki – zaśmiał się Giełdziarz. – Słuchaj, po to są kumple, aby sobie pomagać, co do tego się zgadzamy.

Gdyby Szpad był królikiem, uszy stanęłyby mu jak dwa słupy.

– Przydałaby mi się pomoc – Szpad przeszedł do sedna.

– Jeszcze nie będę chciał od ciebie kasy za te płyty.

Cisza.

– Miałeś dwieście moich płyt, nie? Przepadły, nie? – wyjaśniał dalej Giełdziarz. – Myślisz, że sram nimi? Jakbyś był kim innym, to wiesz... A teraz, póki co, zapomnij. Oddasz, jak będziesz miał. Za sześć tygodni. Mówię ci to, żebyś tym też się nie martwił.

– Dzięki – Szpad mówił, jakby właśnie połknął oset.

– No, leć do dzieciaka – rzekł Giełdziarz zmęczony. Cisza w słuchawce i Szpad się rozłączył.

Giełdziarz podniósł się z fotela i stwierdził, że wybór między drinkiem a układanką jest do pogodzenia.

Zygzak dopiero na osiedlu zorientował się, że zapomniał układanki. Wyrzucił wszystko z plecaka, schował z powrotem i stwierdził, że to mała strata. Wuj patrzył, jak chłopak zarzuca plecak na jedno ramię i naciąga kaptur głębiej na czoło. Począł, aż oddali się na bezpieczną odległość. Ruszył za nim.

Wuj nie lubił listopada. Laska grzęzła w błocie. Napuchnięte nogi chwiały się, do butów przenikała wilgoć. Liczył, że chłopak zatrzyma się przy znajomych, pójdzie do sklepu, do kiosku po fajki.

Rzeczywiście, Zygzak przystanął przy boisku (swoją drogą, tego, kto wymyślił, by boiska szkolne zalewać asfaltem, należałoby ukamienować), przybił piątkę rówieśnikom. Zaczęli palić. Wuj stał daleko, ale wiedział, że to nie papierosy. Jakby złapał wnuczkę na paleniu zielska, wyrwałby jej nogi z dupy i kał zeżreć.

Wuj przesuwiał się powoli wzdłuż alejki. Facet pielący ogródek przed blokiem obrzucił Wuja dziwnym spojrzeniem. Wuj wiedział, że nie wygląda najlepiej. Cóż, nie można wiele wymagać od siebie. Szczególnie po osiemdziesiątce.

Przez lata patrzył, jak Kraków Przybyszewskiego i Wyspiańskiego zjada kolejne wioski, brunatnieje, obrasta swastykami, tonie w czerwieni nowego ładu, jak pnie się w górę, rozrzuca brązowe osiedla i czuł, że miasto staje się obce. Tak obce jak żona, która po czterdziestu latach nie ma odwagi powiedzieć „spadaj, pierdzielu” i znika, sam diabeł nie wie gdzie. Jego Kraków zatonał wśród reklam, wysokich bloków, parasoli z logiem browaru, odleciał jak maszkarony porwane przez reklamę Tchibo. Tu, na Białym Prądniku, czuł się przybyszem z innej planety.

Zygzak zostawił kolegów. Wuj ruszył za nim. Minęli czteropiętrowe bloki, przeszli uliczkę i dotarli nad pasmo zieleni przecięte osiedlową rzeczką. Wuj wiedział, że Zygzak kieruje się do McDonalda po drugiej stronie Opolskiej.

Sto metrów dalej wisiał most. Po lewej kładka. Zygzak wybrał najprostszą drogę, przez grubą rurę przerzuconą nad rzeczką. Obleczo no ją cienkim metalem, teraz wygniecionym przez dziesiątki butów. Wuj przyspieszył i gdy

Zygzak stanął na rurze, zobaczył brudny nurt sunący po betonowych stopniach. Ten ściek nosił nazwę Sudołu. Wuj pamiętał jeszcze, jak kilkadziesiąt lat temu Sudoł srebrzył się wśród drzew. Łowił w nim wtedy traszki i zanosił do domu. Matka topiła je w ubikacji, a on przynosił nowe – krąg się przetaczał.

Widział chłopca stawiającego ostrożne kroki. Poczekał, aż zbliży się do środka i przyspieszył. W okamgnieniu znalazł się za plecami Zygzaka. Wojskowe buty przywarły do rury. Zygzak znieruchomiał, jakby nie wiedział czy odwrócić się, czy biec do przodu. Wuj użył laski jak haka i przycisnął go do siebie.

– Masz coś, co należy do mnie, mały – powiedział. Zygzak bez powodzenia szarpnął laską.

– Poluzuję, a ty się odwrócisz. Nie próbuj uciekać, bo strącę cię do rzeki. Popatrz. Jest płytka, ma wybetonowane dno. Rozumiesz?

Zygzak skinął głową. Wuj zwolnił uścisk, chłopiec przez moment stał jak słup soli, wreszcie obrócił się, starannie przekładając stopy na śliskiej powierzchni. Wuj wydał mu się ogromny. Słońce padało na jego wysokie czoło i brązowe usta. Zygzak wiedział, skąd go zna i pomyślał, że skok w dół nie jest najgorszym rozwiązaniem.

– Kurwa – szepnął.

– No, niech ślag zwali – prychnął Wuj.
– Masz to jeszcze?

Zygzak zerwał plecak z ramion, drżącymi dłońmi odpiął zamek, chcąc wyjąć zawartość. Wuj wyrwał mu plecak i zajrzał do środka. Wyrzucił kanapkę, komiks, gazetę i paczkę fajek. Buszował na dnie. Laską trącał biodro chłopca.

– Tu nie ma wszystkiego.

– To prawda – w oku Zygzaka zawirowała łaża. Wielki śpik zabłyszczał na wardze jak fałszywa perła.

– Wysza, co? – uśmiechał się Wuj.

– Proszę?

– Sprzedałeś, nie? – Wuj zawiesił sobie plecak na ramieniu. Uniósł laskę i zbliżył do nosa chłopca. Trącił go jak niechcianą zabawkę i gwałtownie uderzył Zygzaka w udo. Chłopak skulił się, rozczapierzył ręce, ale dopiero ramię Wuja uchroniło go przed upadkiem.

– Uważaj – rzekł Wuj – ślisko.

– Wszyscy nas widzą – rozpląkał się Zygzak. – Zrób mi coś, to jesteś w dupie. To moje... moje osiedle.

– No, poszczałeś się jak u siebie – Wuj z zadowoleniem patrzył na brązową plamę w kroczu Zygzaka. – A wiesz, znam takich jak ty. Trzynastoletni bandyci, co nie boją się nikogo. Prawdziwi twardziele. Dużo masz tu przyjaciół, co?

Zygzak skinął głową. „Niech powie, czego chce. Boże, niech on zniknie. Chryste z pokoju mojej matki, fosforyzujący Boże do krzyża przybity, pomóż mi”.

– Telefon.

Zygzak patrzył bez zrozumienia.

– Daj komórkę. Dzięki – Wuj podrzucił siemensa, otworzył książkę telefoniczną i zaczął jeździć po numerach. – Kaśka. Twoja dziewczyna?

Zygzak zaprzeczył.

– Siwy. Kumpel, przyjaciel?

– Kumpel. Tylko kumpel. Nie stąd nawet.

– Dobrze. A Loren? To ktoś ci bliski? Przyjaciel, tak?

Zygzak pokiwał głową. Struga moczu dotarła do butów, po adidasach rozlał się ciepły wstyd. Wuj wybrał numer i przyłożył telefon do ucha.

„Mógłbym teraz uciec”, myślał Zygzak. „Przebiec parę kroków i skoczyć na trawę. Dobiegnę do ulicy, będę bezpieczny. Teraz, póki jest zajęty”. Ale nie drgnął. Pamiętał, że Wuj w niewytłumaczalny sposób znalazł się tuż za nim.

– Cześć, Loren. Dzwonię z telefonu twojego przyjaciela. Nie, nie zgubił. Jest tu przede mną i gwarzymy wesoło. Jesteśmy na rurze, nad Sudołem i chyba zaraz sprawię mu kąpiel ze złamaniem karku. Jeśli chcesz mu pomóc, skrzyknij, kogo trzeba, co? Żeby było jak na

tefaucenie. I nie ma czego się bać, jestem przecież... – zawiesił głos, opuścił aparat i dodał z udawanym zdziwieniem – ...straszenie stary.

Siemens poleciał trzy metry niżej, do rzeczki.

– Teraz myślę, że możemy wreszcie porozmawiać. Brakuje, jak widzę, świecznika i układanki. Ile wzięłeś?

– Jezu, człowieku – Zygzak pożałował, że nie spróbował ucieczki – piątkę.

– Za oba?

– Tylko za świecznik. Układankę zostawiłem, przypadek, człowieku. Nalot był, nie chciałem, by to złapali, by mnie...

– Bo kradzione, co?

Zygzak skinął głową. Wuj zbliżył się do niego. Zygzak poczuł oddech Wuja. Śmierdział, jakby coś gniło mu w żołądku.

– Kto kupił świecznik?

– Proszę, facet. Gość jak gość, takich jest setki, no... – Zygzak usiłował wyłowić z pamięci cokolwiek, co uratowałoby go od upadku – myślisz, że pamiętam? Czekaj, czekaj...

– Jak wyglądał?

– Chyba robi na giełdzie. Okrągła twarz. Duży nos. W ogóle, duży facet. I miał, czekaj... srebrne spodnie. Tak. Dżinsy.

– Gdzie mogę go spotkać?

– Posłuchaj, facet – Zygzak zebrał resztki odwagi, spojrzął za siebie – myślałem, że to

niczyje. Naprawdę. Nie tknąłbym, gdybym wiedział, że to twoje. Znajdę tego gościa i odbiorę. Wrócę teraz na giełdę. Może układanka wciąż leży, przyniosę ci i...

Odwrócił się gwałtownie i skoczył do przodu. Schylił się odruchowo i laska śmignęła mu nad głową. Trzema susami dotarł do końca rury i jak strzała pobiegł w górę, w stronę ulicy. Na szczycie spojrzął za siebie. Wuj stał wciąż na rurze, z plecakiem i laską w rozłożonych dłoniach. Pokazał mu środkowy palec i wybiegł na Opolską.

Ciało Zygzaka lepiło się od potu. Usiłował wypatrzeć lukę w mknących samochodach. Widział McDonalda i stację benzynową. Zrazem zmienia się światła, samochody staną i będzie bezpieczny.

Potężna siła uniosła go w górę. Obejrzał się i zobaczył Wuję, faceta bez twarzy. Pocztał, że leci, że chmury i asfalt wirują jak w bębnie. Zapiszczały hamulce. Upadł na plecy, niebo wyglądało jak zadymione szkiełko, zdążył jeszcze spojrzeć w lewo, dostrzec ciężarówkę i zacisnąć oczy.

Uderzenie nie było głośniejsze od otwarcia puszek z piwem. Zygzak poleciał w ciszę i w ciemność.

Rozdział drugi,

w którym pojawia się Brandon
i pokazuje Giełdziarzowi zupełnie
nową drogę do domu, a Szpad
znajduje kolejne zajęcie

Giełdziarz znalazł suche miejsce na chodniku, usiadł i zastanawiał się, co dalej. Dochodziła druga w nocy. Jeszcze nigdy perspektywa łóżka i pijackiego snu nie była tak odległa.

Mieszkanie zamykało się na zatrask, a Giełdziarz zostawił klucze w domu. Jeśli sforsuje domofon, pozostaną wzmacniane drzwi. Spojrzał w niebo. Przemarznie do kości.

Istniały trzy wyjścia: znaleźć znajomego z łóżkiem, poszukać hotelu studenckiego, albo spróbować dostać się na klatkę. Skończy się na tym, że trafi do ula za włamanie do własnego mieszkania.

– Hej, masz fajka?

Przed Giełdziarzem wyrósł drobny chłopak. Miał rudą czuprynę, piegi i kościuszkowski nos. Giełdziarz podał mu paczkę.

– Sam weź. Nie zimno ci, koleś?
Rudzielec miał na sobie koszulę i wytartą skórzaną kurtkę.
– Problemy?
– Można tak powiedzieć – Giełdziarz ucieszył się, że znalazł towarzystwo. Nawet tego wypłosza. Dał chłopakowi ognia i wskazał na ostatnie piętro.
– Tam mieszkam – wyjaśnił.
– Żona wywaliła?
– Jestem aż tak pijany? – prychnął Giełdziarz i opowiedział o kluczu.
– Najzabawniejsze, że wiem dokładnie, gdzie leży. Na stoliku przy łóżku, między czapką a książką Mastertona.
– Lubisz horrory?
– Tak sobie. Ale Mastertona uwielbiam. Widzisz, koleś, taki King nudzi, po prostu facet nie uśnie, jak nie walnie opisu na rozdział, jak baba je kotleta czy coś podobnego. Ma momenty, koleś, ale...
– Mam na imię Brandon – przerwał Rudzielec. Giełdziarz próbował skończyć zdanie, ale zamilkł i spojrzał ze zdziwieniem na rozmówcę.
– Jak?
– Brandon. I nie lubię, jak mówią do mnie koleś.

Giełdziarz miał moment wahania. Mógł wzruszyć ramionami i kazać gnojkwowi zjeżdżać, ale zapragnął towarzystwa.

– Na mnie mówią Giełdziarz – zdjął rękawiczkę i podali sobie dłonie. Giełdziarz patrzył na Brandona z uwagą. – Jesteś nie-Polakiem?

– Fajne słowo. Nie-Polak – Brandon przydeptał niedopałek. – Urodziłem się tutaj. Mówię tylko po polsku...

Giełdziarzowi zrobiło się głupio.

– Pytam, bo masz egzotyczne imię.

– Może moja mama obejrzała „Kruka” o jeden raz za dużo?

– Brandon. Brandon – powtarzał Giełdziarz, patrząc na ciemne rzędy okien. – Mam przejebane, wiesz?

– Kisiel napisał, że to zła rzecz kpić z imion i nazwisk. Ale co robić, skoro to takie śmieszne. Tak właśnie napisał.

– Kto napisał? – zapytał Giełdziarz, zadzierając głowę.

– Kisielewski. Konserwatysta.

– Nie czytam, a konserwatyzm kojarzy mi się z różgą od świętego Mikołaja. Jesteś Brandon i tyle. Mam inne problemy i dla mnie możesz nazywać się Walisz-Płacisz.

– Skąd wiesz? – zapytał Brandon. Giełdziarz popatrzył na niego ze zdumieniem. Ru-

dzielec stał przez chwilę z kamienną twarzą, po czym zadrżały mu kąciki ust i wybuchnął śmiechem. Rechotali obaj. Brandon poklepał Giełdziarza po ramieniu.

– Co do twojego problemu... Mam rozwiązanie.

Brandon przyjrzał się kamienicy, chwycił za piorunochron i podciągnął się do góry. Giełdziarz nigdy nie widział, by ktoś wspinał się tak szybko. Rudzielec w okamgnieniu dotarł do pierwszego piętra, zawisnął na jednej ręce niczym niekształtny drogowskaz i krzyknął.

– Boisz się czegoś?

– Prawie niczego – odparł Giełdziarz. – Połamania kości, wędrówki do piachu, jeszcze paru innych drobiazgów.

– Żartujesz.

– Mam pomysł, facet. Przede wszystkim, nie drzyjmy się po nocy. Po drugie – skoro lubisz wspinaczki, wskakuj na czwarte piętro i rzuć mi klucze. Postawię wódkę, co chcesz. Może być?

– Dobra – rzucił Brandon. Zeskoczył.

Wylądował obok niego, zakręcił się i, nim Giełdziarz zdążył się połapać, chłopak wyjął mu portfel („z wewnętrznej kieszeni, jak skurwiel to zrobił?”), włożył w zęby i wskoczył na piorunochron – wszystko nim zdążyłbyś strze-

lić palcami. Giełdziarz podbiegł, machnął ręką, ale rudzielec wspiął się w górę.

– Weł go łobie – powiedział. Portfel w zębach przypominał martwą rybę.

„Gdybym miał pistolet, rozwalilibym go bez wahania”, pomyślał. W portfelu był utarg z trzech stoisk. A portfel dostał od Moniki.

– Będziesz tego żałował.

– Ob...agnij mi.

– Jak sobie chcesz – warknął Giełdziarz, założył rękawiczkę i chwycił piorunochron. Wspinał się niepewnymi, urywanymi szarpnięciami. Kiedy dotarł na pierwsze piętro, miał wrażenie, że jego ręce płoną żywym ogniem. Brandon zrećcznie wyszedł wyżej.

Giełdziarz chciał powiedzieć, co o nim myśli, ale zabrakło mu powietrza w płucach. Spojrzał w dół. Ostatnia szansa, aby się wycofać. Brandon czekał, wisząc na jednej ręce. Portfel wepchał w kieszeń. Giełdziarz zebrał siły. Wciąż mógł przypierdolić, ale podciąganie się przerastało jego siły. Przez moment myślał, że zrezygnuje. To tylko forsa. Dał się zrobić jak dziecko.

„Proszę bardzo, jak miło możemy dać się zaskoczyć”, pomyślał i zaczął się wspinać. Wiedział, że Brandon zaczeka na niego. Zamknął oczy i spróbował skupić się na czymś, co pomogłoby mu przestać patrzeć w dół.

Podciągnął się i odniósł wrażenie, że stawy bezgłośnie odłączyły się od siebie i wisi na płatach skóry. Zaraz spadnie.

– Posłuchaj mnie, Brandon – wysapał. Miał nadzieję, że mówiąc, zapomni o wysiłku – wiem, że jesteś szybszy. Ale...

– Oszczędzaj oddech.

Trzecie piętro. Giełdziarz spojrział w dół. Chodnik tonął w pomarańczowym świetle i wydawał się niewiarygodnie odległy.

– Mam tego dosyć. Chcę ci powiedzieć... bo nie wiem, czy wiesz...

Można by powiedzieć, że na piorunochronie wyrosły kolce. Albo ktoś go nagrzewa.

– Zmierzam do tego, że wejść jest łatwiej, niż zejść. Więc, kochanieńki...

Prawie koniec. Zaraz dotrze do swoich okien.

– To tutaj? – zapytał Brandon, ale Giełdziarz słuchał tylko własnych słów:

– Jak będziesz już na górze – sapał – radzę ci czekać. Inaczej zrzucę ci na łeb największe gówno, jakie tam znajdę.

„Zaraz dach się załamie i zobaczę niebo”.

Buty Brandona majtały metr nad Giełdziarzem.

– Na filmach zawsze jest tak, że gdy jesteś przy samym szczycie, coś się psuje. Zrywa się zapięcie. Kamień usuwa się spod nóg. Więc powiedz, twoje okno czy nie twoje?

Giełdziarz z trudem podniósł głowę. Przez czoło przemknęła struga potu, załamując światło.

– Tutaj – sapnął i nim zdążył zareagować, ramię Brandona wykonało zgrabny obrót, łokieć uderzył w szybę. Giełdziarz przycisnął twarz do tynku. Odłamki szkła spadły na głowę i ramiona. Gdy znów spojrział w górę, dostrzegł, że Brandon wystawia głowę przez otwarte okno.

– Będziesz tak wisiał?

Ostatni etap był najgorszy. Skóra na dłoniach nabrzmiała. Giełdziarz mógł przysiąc, że opuszki wystrzelą czerwonym fajerwerkiem. Po barkach, rękach i plecach płynął ołów. Spojrział w dół. Poczul, że nie ma siły podnieść głowy, że się przeliczył. Podciągnął się i znieruchomiał w pół ruchu, niezdolny go dokończyć i zbyt przerażony, by wrócić. Ręka Brandona trąciła go w czubek głowy.

Zaufał jej jak nigdy nikomu.

Szpad nie wiedział, czy chce spotykać się z tym dziwnym gościem, a tym bardziej, czy chce od niego pieniądze. Na zdrowy rozum, facet miał szmergla. Szpad siedział przy barze, pił piwo z puszki i wypatrywał kogoś w płetwach zamiast butów, z czołem pełnym guzów, paznokciami jak u jaszczurki. Wuj

wyglądał zwyczajnie, miał szary płaszcz, brodę i grube białe palce. Przypominał trochę zadowolonego z życia szczyrzego króla, który siedzi na górze sera i obserwuje poddanych.

– Dobrze, że pan jest – rzekł Wuj. Uścił Szpadowi rękę.

Wuj zdjął płaszcz, usiadł i poprosił o piwo.

– Lane. I do cienkiego szkła.

Barman oddalił się i Szpad szepnęła, że piwo beczkowe jest chrzczone.

– Pan może pić z puszki – odparł Wuj

– pan jest młodym barbarzyńcą.

Szpad nie wiedział, czy ma się śmiać.

– Jak pan mnie znalazł?

– Ludzie na giełdzie mówili, że szukasz roboty.

– Kto mówił?

– Gdybyś miał osiemdziesiąt jeden lat, wszyscy młodzi wyglądaliby dla ciebie podobnie. Stał z kompaktami.

– Giełdziarz?

– Pewno i giełdziarz – opowiedział Wuj.

– Z moich informacji wynika, że wszyscy są tam giełdziarzami.

– Giełdziarz to jego ksywka. Taki facet podobny do nikogo.

– Można tak powiedzieć – Wuj mówił powoli, starannie dobierając słowa. – Podobny do nikogo.

Szpad westchnął z ulgą. Giełdziarz nie opuścił go w potrzebie.

– Panowie są przyjaciółmi? – chciał wiedzieć Wuj.

– Od dzisiaj na pewno.

– Moja robota jest prosta – zaczął Wuj. Wyjął z teczki cegłę zadrukowanych kartek. – Masz to, ma pan, rozklejać na mieście. Gdzie będzie to możliwe.

Szpad wziął pojedynczą kartkę, a Wuj ciągnął dalej.

– Chciałbym, aby rozmieszczał je pan gęsto. Niech pan unika miejsc, gdzie przyklejanie jest zabronione. Ogłoszenia mają być widoczne.

– Nie wiem, czy nie są za małe – Szpad patrzył w kartkę, zastanawiając się, czy „ogłoszenie” to dobre słowo.

– Przyklejaj po kilka. Zalepiaj całe szyby. Gdyby się skończyły – Wuj pogmerał w kieszeni – tu są jakieś pieniądze. Kseruj, ile się da.

Szpad położył dłoń na stuzłotówkach.

– Reszta dla ciebie. Ale się nie oszczędzaj, rozumiesz? Wiem, że potrzebujesz pieniędzy, więc ganiaj od rana do nocy i rozlepiaj. Niech będą na każdej klatce. Każdym słupie. I jak najszybciej. Masz samochód?

Chłopak pokręcił głową.

– Niedobrze. Kup sobie kartę. Za tydzień spotkamy się tutaj. Powiesz, ile rozwiesi-

łeś i ile mam ci zapłacić. Nie obrazisz mnie tym.

Wuj wstał, uściśnął Szpadowi rękę i poszedł, wsparty na lasce. Szpad widział jego szerokie plecy. Zupełnie jakby pod płaszczem chował skrzydła.

Nie wiedział, ile czasu leżał na podłodze. Brandon kręcił się po mieszkaniu. Giełdziarz usłyszał brzęk szklanek, trzask kapsla i poczuł w ręce zimne szkło. Brandon kucnął nad nim i ścierał pot z czoła.

– Napij się. Tylko podnieś głowę. Portfel kładę na kanapie.

Giełdziarz przechylił szklankę i wylał piwo na brodę.

– Lepiej się podnieś.

Z trudem dotarł na kanapę. Każdy staw grał inną piosenkę. Giełdziarz wypił piwo duszkiem, łapczywie chwycił następne i podrzucił portfel w dłoni. Śmiech utknął w suchym kaszlu.

– Gdybyś nie wyszedł, rzuciłbym ci go z dachu – Brandon obchodził mieszkanie.

– Słowo. W ogóle, fajna chata. Fajny sprzęt.

Giełdziarz miał ogromny, zagracony pokój z wydzieloną kuchnią. Wypełniała go szafa,

kartony płyt i zestaw kina domowego. Plazmowy telewizor słusznie królował pośrodku.

– Za grosze, człowieku – sapał – można mieć takie rzeczy, jak kręcisz, jak...

– Kradzione? – zapytał Brandon beznamiętnie.

– Niektórzy gubią karty płatnicze, niektórzy je znajdują. Po co ci to mówię? Spadaj stąd.

– Nie po to pchałem się z tobą na górę, żeby iść w cholerę. Masz jakieś filmy? Berek mi imponuje.

– Posłuchaj, koleś...

– Nie koleś.

– Brandon, tak? Jesteś pierdolonym amiszem, co? Czy innym mormońskim fiutem? Jednym z tych, co śpiewają hymny na ulicach? A siedź se cicho lepiej, bo posłuchasz. Podpierdasz portfel. Pchasz się na dach... po pioru-nochronie. Mogłem zlecieć, kurwa. Na stówę bym zleciał.

– Guzik prawda.

– Może i guzik. Szarogęsisz się teraz, a ja ci mówię, korzystaj z okazji. Za chwilę pożałujesz.

Brandon uśmiechnął się. Giełdziarz widział go po raz pierwszy w jasnym świetle. Chłopak miał piegi, jakby rozsmarować mu gotowaną marchew na nosie i policzkach.

– Dziesięć minut temu kręciłeś się po ulicy bez szans na odpoczynek. Teraz pijesz piwo

u siebie w domu. Szklarz wyniesie cię taniej niż ślusarz.

Giełdziarz zdążył ochłonać. Wyrzebał papierosa, zapalił. Popiół poleciał na parkiet.

– Ile masz lat, Brandon?

– Mam trzy latka. Trzy i pół.

– Sięgam chujem ponad stół – dokończył Giełdziarz. – Serio pytam.

– Serio, to osiemnaście.

– Gówniarz.

– A ty?

– Dwadzieścia parę.

– Sam to wszystko kupiłeś?

Giełdziarz wyciągnął butelkę wódki i nalał do dwóch szklanek.

– Z kombinowania. Giełdziarz jestem – tym razem zdołał się uśmiechnąć. Brandon spacerował po mieszkaniu. Pogłodził zdjęcie przy komputerze. Giełdziarz skinął głową i rudzielec podniósł je, by lepiej się przyjrzeć.

– Twoja dziewczyna?

– Aha.

– Bardzo ładna.

– Też mi się podoba.

Brandon wodził palcem po twarzy dziewczyny. Obracał ramkę w rękach, ścisnął ją delikatnie z dwóch stron. Zmarszczył brwi. Nim Giełdziarz zdążył zaprotestować, chłopak otworzył ramkę. Na podłogę posypały się zdjęcia.

Giełdziarz westchnął. Brandon podniósł fotografie i usiadł przy Giełdziarzu.

– Ja piję czystą – rzekł Giełdziarz. – Powiedziałbym ci, żebyś czuł się jak u siebie, ale to chyba niepotrzebne.

– Są tu wszystkie? – zapytał Brandon. Giełdziarz pokiwał głową.

– Poza pierwszą. Zdjęcie gdzieś przepadło. Ramkę dostałem od drugiej. Jesteś pierwszym, który rozgryzł moją tajemnicę. Ale mało kto mnie odwiedza.

– Ta wygląda sympatycznie.

– No to za nią, żeby się jej wiodło – Giełdziarz uniósł kieliszek. Wypił, ożywczy dreszcz przeszedł przez ciało. Popatrzył na wybite okno i powiedział:

– Takich się wystrzegam. Typ dziewczyny „zaopiekuj się mną”. Taka ma twardego charakter i jest wredna, jak nie wiem.

– Ja nic nie wiem. Mówią, że miło się wspomina.

– Kiedyś się z tego nawet cieszyłem. Z tego, że wielka miłość i wielkie rozczarowanie są już za mną. Że nie przyszło na przykład teraz. Wtedy zgłupiałem. Świat stał mi się obcy. Ale dzieciak byłem i nic mi nie groziło. Gdyby dopadło mnie teraz, stary, po prostu tego nie widzę. Nie ma nic gorszego niż dorosły facet z dziecinnym stosunkiem do kobiet.

– Ale rozczarowanie przyszło znowu – rzekł Brandon i podał Giełdziarzowi fotografię.

– Musieliście być razem kupę czasu.

– Cztery lata, bystrzaku – Giełdziarz z trudem skrywał podziw – cztery lata, facet, w pysk strzelił. Szybko się zaczęło i nagle poszło w pizdu.

– Ciężko było?

– To zależy – Giełdziarz pomyślał, że nie ma co okłamywać faceta, z którym weszło się do mieszkania po piorunochronie. – Kochałem, co będę pierdolił, ale nie wylądowałem w pustce. Miałem przyjaciół. Miałem giełdę. Poznałem Monikę i jest dobrze.

– Długo się znacie?

– Dwa miesiące. Przyszła na giełdę. Tak się zaczęło. Myślę, że jak skończy studia, to ściągnę ją do Krakowa. Uwiję tu gniazdko i jakoś to będzie. Wiesz, to zawsze jakaś próba.

– Pewnie. Wielka miłość?

– Może w ten sposób: ja tam się w życiu wyszumiałem, od kobiet chcę spokoju. Nie oparcia, bo jeszcze trochę w mózgu mi zostało – nie oczekuję takich rzeczy. Ale nie wiem, czy łapiesz. Ot, pierwsza dziewczyna, przy której czuję spokój. Wraca do siebie, a ten spokój zostaje ze mną.

– Nie mieszka w Krakowie?

– Nie – westchnął Giełdziarz. – Katowice. Studiuje zaocznie i tłucze pieniądze w jakiejś

firmie. Jeszcze tam nie byłem. Przyjeżdża raz na dwa tygodnie, jak ma wolne. Fajna dziewczyna, mówię ci. A zapatrzona we mnie jak w obraz, sam nie wiem czemu, ale kręci mnie to, facet. Ego rośnie mi tak szybko jak kutas, gdy widzę jej cycki.

Giełdziarz zorientował się, że Brandon go nie słucha. Chłopak stał nad stołem i przyglądał się układance. Wziął jeden z elementów, podrzucił w dłoni i spytał:

– Kręci cię?

– Jeszcze nie wiem – Giełdziarz podszedł do stołu. – Znalazłem to gówno. Rok układania. Nie mam wzoru.

– Wywał to i po sprawie.

Giełdziarz spostrzegł, że Brandon ma chrapkę na układankę, ale nie zamierzał sprawiać mu przyjemności.

– Poradzę sobie. Zostanie mi na starość. Będę kuśtykał o lasce, miał kota i układał.

Brandon uśmiechnął się. Jego ręce zaczęły krążyć po stole. Odnalazł dwa elementy, dopasował, sięgnął po następny i dał na właściwe miejsce. Szczupłe dłonie śmigały nad stołem, a obrazek się rozrastał. Z bezładnych puzzli wyłoniło się okno z jesiennym krajobrazem, ptak i zbązowała ściana. Niebo przecinał czerwony maszt. W doniczkach stały kwiaty. Brandon przygryzał wargi. Pot lśnił na brodzie.

– Świetnie ci idzie – rzekł oszołomiony Giełdziarz. – Dalej, stary.

I Brandon przestał. Dyszał z wysiłku.

– No – zachęcał Giełdziarz – jeszcze trochę i będzie ułożone.

Brandon oklapnął na sofę, otarł czoło i opróżnił szklankę.

– Jesteś jakimś joginem, tak? Pracowałeś nad koncentracją?

– I jem prosto z szamba – prychnął Brandon. – Resztę zostawiam tobie. Twoja radość i twoja układanka.

– Mówię znowu, że jesteś w tym lepszy.

– Ludzie dzielą się na dwie kategorie – powiedział Brandon – na tych, którzy układają i tych, którzy chcą mieć coś ułożone.

Giełdziarz popatrzył na Brandona jak krowa na Buddę.

– Wątpię, abym podołał – zgarbił się nad stołem. – Nie będzie ci przeszkadzało, jak trochę nad tym posiedzę?

Nie czekając na odpowiedź, podniósł element układanki i znalazł dla niego miejsce.

Dochodziła druga. Brandon kucnął pod ścianą, Giełdziarz z trudem utrzymywał się nad stołem. Kończyli drugą butelkę. Układanka

falowała niczym rozgrzane szkło, elementy zaczęły krążyć i wyrzyszczać się. Giełdziarz widział pęcherzyki powietrza pęczniejące pod tekturą. Zrezygnowany usiadł przy Brandonie.

– Jak poszło? – zapytał chłopak.

– Wszedłem na faceta – odparł. – Mam rękę i kawałek swetra.

– Skąd wiesz, że to facet?

– Bo ma rękę jak bochen, a w ręce trzyma fiuta – parsknął. Popatrzył na kieliszek z bołescią. – Jutro to skończę.

– Opowiem ci coś. Słyszałem o pewnym studencie, który pisał pracę magisterską. A że nie miał dobrego zdania o polskiej kulturze, powtórzył numer Gałczyńskiego. Wiesz, co to za numer?

– Nie, ale zaraz mi to powiesz.

– Gałczyński – ciągnął Brandon – wymyślił poetę i napisał o nim artykuł. Z wypowiedziami krytyków, ze wszystkim. Nasz koleś studiował chyba kulturoznawstwo, więc zrobił monografię fikcyjnego kościoła na Białostocczyźnie, we wsi Kernerówka. Jest taka wieś. Z historią, kolejnymi proboszczami i badaniem ankietowym wśród parafian. Wziął jakiegoś popa i dał jego zdjęcie. Zrobił zdjęcia jakiejś białoruskiej cerkwi, poprzeręcał w Photoshopie i oddał.

– Niech zgadnę, przeszło.

– To dość oczywiste. Dowcip w tym, że ten kościół się pojawił. Facet opisał prawdziwą miejscowość – Kernerówkę i fikcyjny kościół, łapiesz? A tu pewnego dnia wyrosły fundamenty. Następnego dnia mury, trzeciego cerkiew już stała. Mogłeś podejść, zastukać, ukruszyć drewno, podpierdolić ikonę. Jak z każdą cerkwią.

Giełdziarz uśmiechnął się jak facet, któremu wciska się kserowaną stuzłotówkę.

– Tego nie było w telewizji.

– Podobno nikt tam nie wszedł, ale wieś czekała przed cerkwią na popa. Widzieli światło, słyszeli kroki w sieni, ale pop się nie zjawił. Cerkiew dalej stoi. Przejedź się do Kernerówki, zobacz sobie.

Giełdziarz pomyślał, że nie dojedzie nawet do łóżka.

– Po co mi to mówisz?

– Chcę powiedzieć tyle, że nie wiesz, co łożysz. Co i dla kogo.

Giełdziarz obudził się i natychmiast usiadł na łóżku. Obrzucił spojrzeniem pozostałości po wariackiej nocy – butelki i Brandona skulonego na kocu. Na twarzy rudzielca rozciągnął się pijacki uśmiech. Giełdziarz pomyślał

ciepło o nowym znajomym. Wstał. Zakręciło mu się w głowie. Był pijany, jakby dopiero co wrócił z knajpy.

W powietrzu wisił smród papierosów i niemytych ciał. Giełdziarz podszedł do okna, zaczerpnął powietrza i szarpnął za piorunochron. Siedział mocno. Przyjrzał się fioletowym wnętrzom dłoni i przeniósł wzrok na chodnik, cztery piętra niżej. „Mogłeś zdrowo gwizdnąć o ziemię”, pomyślał. Zadowolony zabrał się za śniadanie.

– Brandon, chcesz jajka?

Chłopak nie drgnął.

– Jak sobie chcesz – mruknął Giełdziarz.

– Mi żołądek przyrósł do pleców.

Zagotował wodę, posolił i wybrał pięć jajek. Zanurzył je ostrożnie we wrzątku – jedno od razu pękło i białko rozlało się jasną smugą. Giełdziarz oparł się o stół. Przymknął oczy i natychmiast przyleciał helikopter. „Proszę, dzień stracony. Najpierw doprowadzisz do porządku siebie, potem dom, a siły starczy ci na tyle, by gapić się na wideo. Kacu, pozwól żyć”.

Giełdziarz myślał, że kac, obok bólu zęba i przedwczesnego wytrysku, jest dowodem na nieistnienie Boga.

Jedno z jajek uniosło się na powierzchnię. Giełdziarz utkwiał w nim najtępsze ze spojrzeń. Skorupka pękła, rozłożyła się jak otwar-

ty właśnie kokon, a z wnętrza wydobyło się pisklę, nagie, czerwone i ślepe. Ptak zamachał skrzydełkami, jakby chciał ulecieć z tego piekła, otworzył dzióbek w niemej skardze i osunął się martwy na dno.

Kolejne pisklę wyzwoliło się i dotarło na powierzchnię, Giełdziarz niezdolny do ruchu obserwował, jak dwa kolejne ptaki czerwienią, skrzeczą i umierają we wrzątku. Otrząsnął się, chwycił szmatę i gwałtownym ruchem wylał garnek do zlewu.

Ostatnie jajko pękło, ale zamiast ptaka siedział w nim maleńki człowieczek, zupełnie bezwłosy, z wąską linią ust i ramionami cienkimi jak zapałki. Różową skórę obrastały bąble. Człowieczek spróbował podnieść się na rękach i Giełdziarz poczuł, że jeśli konająca istota odezwie się choćby słowem, oszaleje.

Zatoczył się, a pokój razem z nim. Giełdziarz wpadł na jawę jak piłka do bramki.

Rozmawianie ze sobą to nic złego, ale Szpad czuł się niezręcznie. Siedział przy kuchennym stole, w samych majtkach i patrzył na kupę ulotek. Mówił ścisłym głosem – o Wuju, nowej pracy i wszystkim, czego od niej oczekiwał.

Za ścianą spała Agnieszka. „Chcesz być dobry dla innych, zacznij od siebie”, pomyślał i pierwsze ogłoszenie powiesił na tablicy korkowej, obok zdjęć, paragonów i rachunków. Szpad zbierał je od roku. Trafiły do szuflady, do równych, spiętych gumkami rzędów. Każdą kwotę Szpad wpisywał do notesu. Konstruował długie kolumny – potrafił dwie linijki zmieścić w rzędzie kratkowanego zeszytu. Co tydzień podkreślał wydatki, bez których mógł się obyć. Rzeczy zbędne miały kolor czerwony. Czarnym markerem zamazywał to, co chciał ukryć przed Agnieszką.

Tajne wydatki trafiały na fiszki. I tak, w ostatnim tygodniu Szpad kupił: jedną płytę z magazynu erotycznego pod halą targową – 3,50 zł, paczkę cukierków z nadzieniem śliwkowym – 2,39 zł, długopis kulkowy z gładką i miękką główką – 5,60 zł i czystą płytę CD-R w pudełku *slim* – 2,00 zł, razem – 14,39 zł. Cukierki i długopis mógł sobie darować. Złożył fiszkę i schował w książeczce kompaktu.

– Chcesz jajka? – krzyknął w stronę Agnieszki. Odpowiedział mu przeciągły pomruk. Znaczyło, że tak.

Szpad zalał jajka zimną wodą i obrał. Dwa odłożył dla Agnieszki, resztę przełożył na swój talerz. Jajka dla żony posypał solą i postawił przy łóżku.

- Mogę herbatkę? – zabrzmiało.
- Mamy kaca, co? – roześmiał się.
- Straszego.
- Z kim chlałaś?
- Z Anką i Magdą.
- Też mi brygada.

Szpad wrócił do kuchni i nastawił wodę. Zjadł swoje jajka. Zalał herbatę, przyszedł do Agnieszki. Dziewczyna jadła łąpczywie, oparta o ścianę. Chude nogi wystawały poza łóżko. Kołdra zsunęła się, odsłaniając kościste ramiona i drobne piersi o pomarszczonych sutkach. Pieprzyki, podobne do rodzyneków, odcinały się od białej skóry. Niezmyty makijaż zlewał się z cieniem pod oczami. – Powiedz mi – Szpad usiadł przy niej – czy jak tak siedzisz w knajpie, nie, to podrywają cię faceci?

Przez moment nie była pewna, czy żartuje.

- Jasne – uśmiechnęła się zalotnie – całymi tabunami.

- A ty? – objął ją. – Co wtedy robisz?

- Wymiotuję im do kufła.

Szpad pocałował ją w czoło. Ubrał kurtkę i schował ulotki to torby.

- Prędko wrócisz?

- Nieprędko. Mam robotę.

- Znowu giełda?

- Giełda jest w weekend. Mamy środę.

- Naprawdę? Dopiero środę?

- Już środę. Zajmij się dzieckiem.

- A ty weź klucze.

Pogwizdując, wszedł do windy. To pierwszy dzień pracy i warto wprowadzić się w dobry nastrój. Na dole kupił taśmę klejącą i nożyczki. Postanowił zacząć od klatki sąsiadów. Obrzucił wzrokiem osiedle, bloki siedzące okrakiem na brązowej ziemi. Przylepił na szybie.

Cztery kartki ułożyły się w spory prostokąt.

*Było nam dobrze, a teraz zaginął
I tęsknię za nim jak za dziewczyną.
Powiedźcie mu, uciekać nie warto.
Ma rude włosy i imię – Brandon.*

Żadnego adresu.

Żadnego telefonu.

Cztery linijki.

Szpad przygotował kartki i poszedł w stronę następnej bramy.

Rozdział trzeci,

w którym Brandon przerywa
Giełdziarzowi miłe spotkanie, Wuj
udziela Szpadowi dobrych rad,
a później ucina sobie
z Arturem pogawędkę

– Nie uwierzysz, kochanie, co mi się przydarzyło.

Siedzieli w „Alchemii” na Kazimierzu. Monika piła Białego Rosjanina, Giełdziarz grzane piwo. Spletli ręce.

– Znowu zapiełeś?

– Trudno żyć z tęsknotą – odparł. Gdy był z Moniką, czuł spokój. Gdy przyjeżdżała, zabierał ją do knajpy, choć nie chciał pić. Najbardziej na świecie pragnął z trzaskiem guzików zdjąć z niej bluzkę, zatonać w jej piersiach, obrócić dziewczynę trzy, cztery razy, a potem zasnąć przy niej. Proszę państwa, Giełdziarz harlekinowy. „Alchemia” potęgowała napięcie. Patrzył na jasne włosy, smukłą szyję i sutki rysujące się pod bluzką. Monika nigdy nie nosiła stanika.

– Nazywał się Brandon – rzekł Giełdziarz i opowiedział wszystko.

– To nie w twoim stylu – usłyszał, gdy skończył.

– Nie wiem, co jest w moim stylu.

– Na pewno nie wychodzenie na dach po piorunochronie. I nie upijanie chłopaka, który cię tam zaciągnął.

– Nie wiem, kochanie. Przypadł mi do gustu.

– Za bardzo ufasz ludziom.

Szeroki uśmiech rozpiął się nad kuflem.

– Ufam tylko tobie. Po prostu patrzę na człowieka i myślę sobie: „mógłby mi zaszkodzić czy nie?”. Popatrzyłem na tego wychudzonego rudzielca i pomyślałem: „no, ta bidula to ani dudę”.

– Przedziwne imię.

– Brandon? Imię jak imię. Na pewno z „Kruka”.

– Albo z „Beverly Hills” i dalej numerki.

– Nonsens – rzekł Giełdziarz – facet ma osiemnaście lat. Wtedy nikomu nie śniło się o serialach ze Stanów. Był „Święty” i tyle.

– Jeśli tak, to „Kruka” też nie było.

– Święta racja. Nie mamy o czym myśleć? Jest Brandon i tyle. Znam Aretuzę Folfas. A w książce telefonicznej jest Dolores Miednica i Fryderyk Marchewka. Mój kumpel jest

synem jakiegoś profesora, plastyka. I miał, plastyk, nie kumpel, studentkę, która nazywała się Nadzieja Pociupana.

– Teraz zmyślasz.

– Ani trochę. Kochanie – ujął jej twarz w dłoń – mogłabyś zacząć mi wierzyć.

– Przecież jesteś starym kłamcą.

– Jeszcze paru rzeczy o mnie nie wiesz. Nie pokazywałem ci na przykład tego, co zaprzęta mi głowę.

– No i widzisz – Giełdziarz wskazał na układankę – siedzę nad tym wieczorami i nie dochodzę. Jak w życiu.

Monika pochyliła się nad stołem.

– Nieźle ci idzie.

– Bzdura. Większość ułożył Brandon. Dokładam po dziesięć elementów dziennie.

– Z każdym powinno iść szybciej.

– Nie mam pojęcia, co tam jest. Inaczej dawno bym to rzucił. Mam okno i kawałek faceta.

– I łaskę.

– Fajniejszej mieć nie mogłem – Giełdziarz objął Monikę. Przesunął wargami po jej karku. Dziewczyna zadrżała.

– Mówiłam o lasce. Popatrz, tu jest rączka i biegnie dalej. Czeka, czekaj...

Dziewczyna przerzuciła kilka elementów, znalazła właściwy i dołączyła do ułożonego obrazka. Giełdziarz widział już wyraźnie – laska była brązowa, z czarnym ornamentem.

– Nie zauważyłem tego, ciekawe... Popatrz. To jest układanka zrobiona na zamówienie. Prawdopodobnie dali ją temu staruszkowi, żeby układał samego siebie – roześmiał się Giełdziarz.

Wzrok Moniki spoczywał już na czymś innym. Podniosła świecznik z półki.

– O to cię nie podejrzewałam.

– Może kiedyś coś ugotuję i zjemy przy świecach?

– Prędeż zamówisz pizzę.

– Bardzo możliwe. Ale świecznik mam. Szkoda, że nie dwa.

– Ładny. Dość oryginalny.

Świecznik przyozdabiała płaskorzeźba myśliwego z psem. Pies dotykał pyskiem własnego ogona i wyglądał, jakby zaraz zamierzał go zjeść.

– Chcesz go? – zapytał.

Monika odpowiedziała pocałunkiem. Jej wargi zsunęły się powoli po brodzie Giełdziarza. Dotarły do szyi. Giełdziarz westchnął. Dziewczyna przyłgnęła do niego. Bezradnie usiłował dostać się do jej piersi. Delikatnie przesuwając dłońmi po plecach Moniki.

– Mógłbym przerobić ci go na lampę. Wystarczy puścić środkiem kabel i zamontować...

Podniósł delikatnie Monikę i położył na stole. Części układanki spadły na podłogę. Giełdziarz powoli rozpinął guziki. Dziewczyna podniosła się na ramionach, aby mu pomóc. Dotknął jej piersi i poczuł, że tym razem gra wstępna nie będzie długa.

– Świecznik – szepnął do siebie – świecznik i układanka.

Czarny nie znosił tego klubu – drażniły go spocone ciała, narkotyczne płasy i brzydkie dziewczyny wijące się na rurach. Ale Artur miał tu własny stolik i mógł pozwolić sobie na atrakcje, które nie przeszłyby gdzie indziej.

W rękach Artura pojawił się czarny młyneczek. Pokręcił korbką, uśmiechając się jak święty Mikołaj na przedszkolnej wigilii.

– Widzisz – powiedział – marihuana to mała meksykańska dziewczynka. Woda to stara rosyjska kurwa. A to, panie kolego, wielka diwa operowa.

Wysypał kokainę i rozdzielił cztery kreski. Czarny zwinął stuzłotówkę w rurkę i wyrównał ją, uderzając o stolik. Wciągnął swoją porcję i podał Arturowi.

– W życiu piękne są tylko chwile – próbował nucić. Odgiął głowę do tyłu. Kokaina popędziła w głąb czaszki i rozbiegła się po neuronach. Artur zapalił papierosa.

– Fajna zapalniczka – Czarny nie palił, ale lubił gadzety. Artur miał potężną zapalniczkę Zippo na benzynę.

– Dostałem od dziewczyny – rzekł i dodał po chwili: – Coś jednak cię gnębi.

– Dziś sobota.

– Giełdziarz?

– Giełdziarz. Właściwie jak on ma na imię? Znamy się z pięć lat, a ja dalej nie wiem.

– Teraz dzieją się różne cuda. Możesz sobie zmienić imię na Giełdziarz i zmienić tak rejestrację w maluchu. Polański ma „Romek” na swojej tablicy.

– Pytałem serio.

– Serio, to trzeba spytać jego dziewczyny.

– Przestań – burknął Czarny.

– Ona chyba wie.

– Myślę o czymś innym. Chyba przesadziliśmy.

Artur uśmiechnął się najszerzej, jak umiał.

– To był twój pomysł.

Czarny bawił się szklanką, odbijając ją między dłońmi.

– Nasz.

– I nie mogliśmy tego rozwiązać lepiej.

– Gorzej, gdy sprawa się rypnie.

– A czemu miałyby się rypnąć? Patrz lepiej na foczki. Zaraz trzeba by ruszyć, coś zadziałać.

Czarny nie miał ochoty na kobiety. Po kokainie mógł wlać w siebie wiadro wody i głównie o to szło.

– To twój kumpel – rzekł Artur – ty znasz go lepiej.

– Ludzie mówią tak: „Nie wkładaj rąk w tryby, gdy maszyna idzie”. A my włożyliśmy łapy po łokcie. I mamy je w syfie, po równo, ja i ty.

– Daj spokój. Przyszedłem się wyluzować.

Oczy Artura wędrowały za krótko ostrzyżoną brunetką w obcisłych dzinsach. Miała bluzeczkę z głębokim dekoltem. Trójkątne piersi podskakiwały radośnie.

– Słyszę, jak tam piszcza: „weź mnie”, „weź mnie” – rozmarzył się Artur.

– Weź i pomłaszcz – dodał Czarny.

– Dasz wreszcie spokój? Pamiętasz, jaki był kiedyś, jaki jest teraz. Pomogliśmy facetowi. Gdyby nie my, zapiłby się na śmierć. Pamiętasz, jak przychodził? Ledwo stał na nogach.

– Solidarność giełdziarska.

– Gówno, nie solidarność. Jest przyjaźń. A ja lubię tego gnojka i nie chcę, aby się marnował. Tyle. Poza tym, to twój pomysł.

– Wtedy wydawał mi się wspaniały.

– Powiem ci jedno – Artur miał dość tej rozmowy – ja mam jeden pomysł. Chcę zaciągnąć tę małą na wciągana prywatkę.

Czarny pomyślał, że warto byłoby się o to założyć. Nie zrobił tego i dobrze, boby przegrał.

Tym razem Giełdziarz nie śnił o jajkach. Stał na giełdzie w letni dzień, a wkoło były same Szpady. Obok zamiast Artura i Czarne-go stało dwóch – chude ramiona pierwszego pokrywały tatuaże, drugi stał w skórzanej kurtce i obracał sygnet. Kobieta Szpad naprzeciw sprzedawała podrabiane ubrania. Tatuś Szpad ze Szpadem brzdącem w skupieniu oglądali płyty. Ze stoisk obok spoglądały identyczne pociągłe twarze w czapkach z daszkiem, z włosami spiętymi i rozpuszczonymi, łyse czaszki Szpadów odbijały słońce. Giełdziarz patrzył z leniwym zdziwieniem.

Opuścił stoisko, trącił małego Szpada (dzieciak rzucił mu wściekłe spojrzenie) i ruszył na spacer po giełdzie. Rzucił okiem na płyty stolik obok. Anna Maria Szpad, „The Best Of”, Depeche Szpad, Iron Szpad, „The number of the loser”. Dalej filmy: „Szpad and the last crusade”, „Star Wars Part II: Attack

of Szpads”, „American Szpad in London”, „Szpad V: The Revenge”. Giełdziarz wiedział już, że śni i świat wypełniony Szpadami nie przerażał go ani trochę. Bał się tylko, że w lustrze dostrzeże tę smutną twarz oszukanego szczura. Giełdziarz Szpad. To się nazywa wyrzut sumienia z opóźnionym zapłonem.

Spróbował się obudzić, ale nie potrafił. Zrezygnowany, ale i zaciekawiony poszedł zwiedzać nowy, wspaniały świat, w którym nikt nie umie podetrzeć sobie tyłka bez rozsmarowania gówna po same łopatki.

Nagle zjawił się Brandon, jedyny nie-Szpad na giełdzie. Sadził potężne susy, wyrzucił stolik Szpada Komórkowca i wylądował przy Giełdziarzu. Stali naprzeciw siebie.

Brandon uderzył w najbliższy stolik. Płyty spadły z łoskotem. Giełdziarz usiłował zatrzymać Brandona. Chłopak wyśliznął mu się z rąk i dopadł do stoiska z gramii. Kolorowa płachta z nowościami poszybowała nad parasole, a stolik upadł przy Giełdziarzu.

– Brandon, przestań! – krzyknął Giełdziarz, ale nie usłyszał samego siebie. Musiał się uchylić – drukarka przefrunęła mu nad głową. Giełdziarz usiłował coś powiedzieć, ale Brandon skoczył na niego i przygniótł do ziemi. Bolało jak na jawie. Z czarnej mgły wyłonił się Brandon.

– Tęsknię za nim jak za dziewczyną – powiedział. – Powiedzcie, uciekać nie warto. Ma rude włosy i imię.

– Brandon! – krzyknął Giełdziarz, chcąc zrzucić napastnika, ale w rękach trzymał tylko zmiętą pościel. Siedział na łóżku, zegar wskazywał dziesiątą. Zaspana Monika patrzyła ze zdumieniem.

– Śpij dalej – wysapał Giełdziarz. – Śnił mi się ten palant z piorunochronu.

Monika zamknęła oczy i Giełdziarz przyglądał się jej, szukając uspokojenia. Nigdy nie był typem kobieciarza i wszystkie swoje kobiety mógł policzyc na palcach jednej ręki. Wiedział jedno: nie warto zwracać uwagi na wygląd kobiety w dzień. Prawda pojawiała się nad ranem i w przypadku Moniki Giełdziarz był gotów ją przyjąć.

– Podejrzewałby cię ktoś o miłość? – czerwony diabełek usiadł mu na ramieniu. – Ciebie, giełdowego oszusta, wystawiającego kumpli na nalotach? Chyba nabierasz samego siebie, że coś ci tam w głębi jeszcze kołacze. Łubu-dubu, łubu-dubu. Taka lawinowa miłość dla poprawienia nastroju.

– Nieprawda – odrzekł aniołek – ten gość tutaj stara się żyć. Nie widział zbyt wiele, a jeszcze mniej zrozumiał. Taka bezrefleksyjna zbieranina komórek. Kocha i kochałby więcej, gdyby sam dał sobie szansę.

– Społeczeństwo skrzywdziło biedaka – skrzeczał diabeł.

– Nie społeczeństwo, tylko on sam – odparł aniołek. – Na razie zdobył się na jedno uczucie. W jego sytuacji to i tak sporo.

– Możliwe – diabeł miał już dość rozmowy. – Każde bydlę kogoś kocha. Krowa byka, a Hitler Ewę Braun.

„Muszę przestać jarać”, stwierdził Giełdziarz. Nie zdążył dotrzeć do łazienki, gdy rozległo się pukanie. Giełdziarz pomyślał o układance. Zerknął w stronę stołu. Część elementów leżała na podłodze, ale ułożony fragment ocalał. Giełdziarz podszedł do drzwi.

Na progu stał Brandon, równie przerażony jak we śnie. Z kieszeni wystawały mu dziesiątki kartek. Trzy razy tyle trzymał w rękach. Znały ślady przez klatkę i schody.

– Pomóż mi – rzucił.

„A co ja, Caritas jestem?”, chciał powiedzieć Giełdziarz. Milcząc, pokierował Brandona do kuchni.

– Jestem trochę zajęty – wyjaśnił. Brandon zerknął przez uchylone drzwi na łóżko i pokiwał głową.

– Napijesz się czegoś? Wódka, woda i mleko z wczoraj.

– Może być mleko.

– Powiem w ten sposób – Giełdziarz usiadł przy zlewie – moja dziewczyna przyjeżdża do

mnie raz na dwa tygodnie. Nawijaj, o co chodzi i spadaj.

– Dowiedział się, że tu jestem – powiedział Brandon i wcisnął kartkę w rękę Giełdziarza.

*Było nam dobrze, a teraz zaginął
I tęsknię za nim jak za dziewczyną.
Powiedźcie mu, uciekać nie warto.
Ma rude włosy i imię – Brandon.*

Giełdziarz przeczytał na głos. Tekst wydał mu się znajomy.

– Ktoś porozwieszał to na całym osiedlu – mówił gorączkowo Brandon. – Nie ma bramy czy słupa bez tego. Często po cztery, czasem są w całych rzędach.

– Spokojnie – Giełdziarz przyglądał się kartce, jakby słowa miały odkryć swój tajemny sens.

– Jest twoje imię, zgoda. Ale to tylko imię.

– Brandonów jest na metry tutaj, co?

– Może i racja. Nie ma adresu. Żadnej informacji o nagrodzie. Moim zdaniem, to jakiś tam poetycki wygłup. Popierdolonych artystów jest na metry. Czują się tu jak gówna w szambie.

– Kto przyszedł, kochanie? – z pokoju dobiegł głos Moniki.

– Brandon – odrzekł nerwowo Giełdziarz.

– Zaraz do ciebie wrócę.

Zapalił papierosa, nastawił kawę i popatrzył współczująco na Brandona. Nie było w nim śladu dawnego wigoru.

– Przyszedłem do ciebie, bo nie mam nikogo innego.

„Wzruszające”, chciał powiedzieć Giełdziarz.

– Nowy w mieście?

– Można tak powiedzieć – rzekł Brandon.

– Posłuchaj. Wiem, co to znaczy i to nie jest żart. On jest już na tropie i jeśli mi nie pomożesz, niedługo mnie dopadnie.

– Zaraz, zaraz – wyszczerzył się Giełdziarz.

– Czyli jest ten moment w filmie, kiedy pojawiają się Oni. Kosmici. Organizacja rządowa trudniejsza do ruszenia niż papież. A twoi Oni są w twojej głowie czy poza nią?

– Nie Oni, tylko On.

– Co to za jeden?

– Nie wiem, jak ma na imię. Znałem go jako Wuja. Nie był moim krewnym. Wuj i tyle.

– Rozumiem.

Giełdziarz myślał głównie o Monice i godzinach, które zostały do pociągu.

– A co chce ci zrobić ten Wuj?

– Zaufałeś mi raz. Zaufaj i drugi. Wątpię, żebyś się ze mną zamienił.

– Ciężki z ciebie facet – Giełdziarz dmuchał na kawę. – Może w ten sposób: czego, do cholery, chcesz ode mnie?

– Przechowaj mnie. Tylko na trochę.
Giełdziarz próbował się nie roześmiać.
– Popatrz na mnie. Czy ja wyglądam na bodyguarda?
– Jesteś jedynym, którego znam tutaj.
– Posłuchaj – Giełdziarz wziął Brandona za ramię i pokierował do wyjścia – tutaj jest moja dziewczyna. Widujemy się raz na dwa tygodnie. To nie jest dużo, prawda? Domyślam się, że ten twój Wuj to strasznie wielki skurwiel?
– Można tak powiedzieć.
Poczuł, że Brandon jest mokry od potu. Chłopak dygotał i Giełdziarzowi zrobiło się głupio, że wyrzuca go za drzwi.
– Dlatego teraz spadaj stąd. Idź do supermarketu czy gdzieś, gdzie jest dużo ludzi. Albo zatrzaśnij się na cztery spusty. Gdzie ty właściwie mieszkasz?
– Proszę, człowieku – Brandon przywarł do ściany. Giełdziarzowi skojarzył się z psem Pluto wleczonym na kąpiel.
– Gdzie mieszkasz?
– Niedaleko. Sąsiedni blok. Ostatnia klatka. Ostatnie piętro. Drzwi po prawej.
– Trochę to niejasne – mruknął Giełdziarz – ale niech ci będzie. Posłuchaj, możesz myśleć, że jestem zasranym egoistycznym fiutem, ale powiedz mi, jakie masz radości, oprócz biegania po dachach? Ja ci powiem – ściszył głos – że ta

laska za ścianą jest moją jedyną radością i nie dam jej sobie wyrwać tych paru godzin.

Chwycił Brandona za ramię, oderwał od ściany i pchnął do wyjścia.

– Ma pociąg o siódmej. Potem przyjdę do ciebie, zabierzemy twoje graty i mieszkać sobie tutaj, aż sprawa nie przycichnie. A przycichnie szybko, bo powiem ci jeszcze, że zaraz zamknę za tobą drzwi i zadzwonię, gdzie trzeba. Dowiem się, kto rozlepie te ogłoszenia i wyjmę mu flaki przez dupę.

– Nie wiem, czy to takie proste.

– A ja wiem. Nie musisz mi dziękować. Spadaj.

Otworzył drzwi. Brandon zeszytniał i nie chciał iść.

– Poczekam w kuchni. Na balkonie.

– Ojciec Święty nie potraktowałby cię lepiej – rzekł Giełdziarz, wypchnął rudzielca na klatkę i zatrzasnął drzwi. Przez judasza zobaczył, że Brandon siada w kucki i zaciska dłonie na głowie, jakby zaraz miała eksplodować.

– Kto to był? – pytała Monika.

– Mówiłem już, że Brandon – rzekł wściekły Giełdziarz i poszukał numeru do Artura.

W słuchawce zabrzmiał zaspany głos.

– Cześć Artur – rzucił Giełdziarz.

– Boże jedyny, kogo przywiało.

– Prośba jest, Artur. Jakaś menda łązi za moim kumplem – Giełdziarz wyjaśnił sytuację. Przeczytał wiersz z kartki i powtórzył historię Brandona. – Dowiedz się, kto rozkleja te kartki i dojedź go w miarę możliwości.

– Co to za koleś, ten Brandon?

Giełdziarz nie miał pojęcia, jak go opisać.

– Stary znajomy. Po prostu jestem mu coś winny.

– To niepodobne do ciebie – powiedziała Monika. Siedzieli na peronie, szarym i cuchnącym jak martwy gołąb. Giełdziarz nie znosił pożegnań. Wolałby wsadzić dziewczynę w tak-sówkę, pomachać i wrócić do dawnego życia. Cały poniedziałek będzie czuł się dziwnie, a od wtorku zacznie tęsknić.

– Co jest do mnie niepodobne?

– Ta historia z Brandonem.

Pocałował ją.

– Może dzięki tobie staję się lepszy?

– A może powinienś go przyjąć? Niepotrzebnie się mną przejąłeś.

– Może zrobiłem to dla siebie. Kiedy wreszcie twoi rodzice zmiękną i będę mógł przyjechać?

– Przerabialiśmy to setki razy. Mój dom nasiąka dobrem z radioodbiornika. Matka leży

krzyżem w kościele. Wiesz, co by się stało, gdyby wiedzieli, że spiam u ciebie?

– To na wigilię też nie mam co liczyć – roześmiał się Giełdziarz.

– Umarliby na twój widok.

Giełdziarz miał dresowe spodnie, wytarty polar i żółtą czapkę z szerokim daszkiem rzucającym cień na opuchnięte od trawy policzki.

– Przecież wiesz. Kończę pracę o siódmej. Ojciec czeka i patrzy w zegar. Dzwoni po koleżankach. Można powiedzieć – przytuliła się do niego – że jesteś całą wolnością, jaką mam.

– Marna to wolność – mruknął Giełdziarz.

– Mnie intryguje ten Brandon.

– Brandon to świr. Szalony kapelusznik naszego osiedla. Pewnie zrobił numer taki jak mnie, ale komuś bez poczucia humoru. A że jest popieprzony, to pewno wyolbrzymia sytuację.

– Patrzyłam. Te ogłoszenia są wszędzie.

– No, są. Artur przetrzepie tego Wuja. Wpadnę do gościa, zrobimy flaszkę, to poprawi mu się humor. Pewno mieszka sam i nie ma przyjaciół.

– Podobnie jak ty.

– Ale nie ma swojej Moniki.

Na peron z brudnym zgrzytem wjechał pociąg. Giełdziarz westchnął. Popatrzył na Monikę i poczuł się bezbronny jak wobec pierwszej

miłości. Lubił myśleć, co będzie, gdy dziewczyna skończy studia i będzie mogła przenieść się do Krakowa. Pal diabli, ożeni się, zaprenumeruje „Nasz Dziennik” i padnie teściom do stóp. Monika była warta mszy.

Artur wiedział, że ogłoszenia rozkleja się o świcie lub po zmroku. Było już po siódmej i sterczał na osiedlu od trzech godzin. Wypalił paczkę papierosów, wypił cztery piwa i żałował serdecznie, że wszedł w tę historię. Giełdziarz to miły facet, ale czasem robi z igły widły.

Osiedle zbiegło od ogłoszeń. Wcześniej Artur zrobił rundę po mieście. Białe karteczki wisiały w centrum, Krowodrzy, obu Prądniakach, Nowej Hucie. Facet musiał ganiać z tym od rana do wieczora. Albo było ich kilku. Nie trzeba wielkiego rozumu, aby domyślić się, że nie chodzi o studencki dowcip i Artur wcale nie miał ochoty pakować się w tę historię.

Ogłoszenia rozwieszano codziennie, jak Artur rozpoznał po ich resztkach, już zerwanych, ale jeszcze świeżych. Ponaklejano na nie nowe. „Niežnośna, mrówcza praca”, myślał Artur zdziwiony, że komuś się chciało. Musiałby dostać furę forsy, żeby ubrać się w taką robotę. Na razie miał niewiele lepszą i to gratis.

Zadzwoił do Czarnego i usłyszał, że powinien zwijać dupę w troki.

– Są dwa wyjścia – powiedział Czarny – albo ta sprawa to zwykła ściema i nie ma sensu się nią zajmować, albo to gówno, w które wdepniesz po uszy, więc podnoś żagle i pomyslnych wiatrów. Nie wiem, po co ci to.

Artur został z dwóch powodów. Popęłnił w życiu dość draństwa, by trafić do piekielnego kotła („będziesz, stary, dawał do ognia – będziesz, będziesz, co byś tam pod nosem nie pierdolił”) i pilnował ostatnich bastionów przyzwoitości. Nie zdradzać przyjaciół. Nie krzywdzić bez potrzeby. Nie spać z laskami, które oczekiwałyby czegoś więcej niż jednej nocy – przecież chętnych przygody foczek jest wystarczająco wiele. Obiecał Giełdziarzowi załatwienie tej sprawy i zrobi wszystko, aby obietnicy dotrzymać.

Historia z karteczkami przypominała mu film kung-fu z Hongkongu albo włoski horror z lat osiemdziesiątych. Wszystko stało na głowie. Najpierw dzwoni Giełdziarz i wariacko bredzi o jeszcze bardziej popieprzonym kumplu stojącym w szambie po czubek głowy. Potem te karteczki z bezsensownym tekstem, bez adresu, porozlepiane po mieście. „Daję dzień trzeźwości, by dowiedzieć się, co to znaczy”, pomyślał i zobaczył Szpada.

Szpad sunął przy ścianie, przygięty torbą. Dotarł do przystanku, sprawnie przykleił siedem kartek i poszedł dalej. Artur przeciął mu drogę gotów do uderzenia.

– Cześć – powiedział.

– Nie chcę problemów – rzekł Szpad – nie mam pieniędzy.

– Daj spokój – Artur uśmiechnął się przyjaźnie. – Znam cię z giełdy. Szedłem i zaciekało mnie, co robisz.

Rzucił okiem na ogłoszenie i dodał:

– Dziwna sprawa.

Szpad przygryzł wargi. Nerwowo miętosił kosmyk włosów.

– Mnie to nie obchodzi. Płacą mi, rozklejam i tyle.

– Dobrze, świetnie. Rozumiem. Też chciałbym mieć taką robotę – rzekł spokojnie Artur. – Może zaprosisz mnie na spotkanie ze swoim szefem?

– Naprawdę nie wiem. Powiem mu o tobie.

– Kiedy będziesz się z nim widział? Jeśli chcesz, możemy przejść się razem. Daj w ogóle tę torbę. Chętnie ci pomogę.

Szpad zacisnął rękę na pasku.

– Nie to nie – Artur wzruszył ramionami – ty pomożesz mnie, ja pomogę tobie. Załatw mi tę robotę, a ja zamieszam, zakręcę i wrócisz na giełdę. Mogę więcej niż Giełdziarz i będę cię lepiej chronił.

– Masz mój telefon – Szpad nabazgrał numer na jednym z ogłoszeń – zadzwoń do mnie jutro o siódmej. Powinienem być już po spotkaniu.

– Zapalisz? – Artur wyciągnął do Szpada otwartą paczkę. Chłopak wziął lucky strike'a. Artur podał mu ogień.

– Fajna zapalniczka.

– Dostałem od dziewczyny. To umówmy się od razu – nalegał Artur. – Gdzie się z nim widzisz?

– W osiedlance przy Wrocławskiej. O siódmej mogę dotrzeć na Kleparz.

– No to Kleparz, siódma – Artur potrząsnął rękę Szpada. – Bardzo, bardzo ci dziękuję.

Zadowolony z siebie poszedł na róg ulicy i zadzwonił po taksówkę. Z daleka obserwował Szpada. Chłopak wędrował od bramy do bramy. Artur zerknął na ogłoszenie. Cokolwiek oznaczało, jutro tajemnica zostanie rozwiązana.

To zabawne, jak mało wiemy o domach w naszym otoczeniu. Giełdziarz nie miał pojęcia o istnieniu tej ponurej rudery, wciśniętej pomiędzy bloki jak zepsuty owoc w koszyku. Stał i wodził wzrokiem po ścianach odartych

z brunatnego tynku, smolistych oknach, parapekach upstrzonych przez gołębie i wyblakłych zdjęciach papieża. Nic dziwnego, że Brandonowi przesunęły się klepki. Tu można oszaleć.

Wyrzucił papierosa i wszedł do środka. Uderzył go cierpki smród potu. Po zielonych ścianach rozsypały się graffiti. Niedopałki ozdabiały kąty. Większość drzwi przypominała przegniłe trumny i Giełdziarz współczuł nie licznym chcącym żyć jak ludzie w tym przekętym miejscu. Czyste futryny wyglądały jak plama światła na zniszczonym obrazie.

– Przepraszam, przepraszam... – Giełdziarz zaczął wychudzonego mężczyznę w nieokreślonym wieku, sunącego z toalety – szukam znajomego.

W paru słowach opisał Brandona.

– Panie, na dziesiątym to tylko gołębie. Gołębie i męty – przejechał dłonią po szczecinie na brodzie, odpluł się i zniknął w mieszkaniu.

Winda nie działała.

Wędrując na dziesiąte piętro, Giełdziarz wyobrażał sobie, jak opowiadałby o tym miejscu: „Stary, smród jakiś. Patrzysz na sufit i szukasz korzeni drzew, no, daję słowo, czujesz się jak w norze trędowatych. Jakieś zombie sunie korytarzem, z butelczyną i garbem; żywy dowód, że Boże miłosierdzie przypomina sito. Dalej

kolesie, no, zesrałbyś się w buty na widok takiej gęby. Nie stwierdzisz, ile mają lat; dziesięciolatek, piętnastolatek – wyglądają tak samo, w dresach, ze ślepiami zarośniętymi od podłego dołpa. Jesteś na piątym piętrze i wąpisz, czy wrócisz na dół, czy ten budynek nie zeżre cię, nie zmieli. Myśl sobie, co chcesz, ale nie wrócę tu za skarby świata i wiem już świetnie, czemu Brandon woli wchodzić do siebie po piorunochronie”.

Tak umilając sobie czas, Giełdziarz dotarł na dziesiąte piętro.

Korytarz przypominał więzienie, z którego wylamano kraty. Na końcu, w wybitym oknie gniazdo uwił gołąb – inny ptak przemknął nad głową Giełdziarza.

– Brandon?

Zajrzał do pierwszego mieszkania. W ścianie działowej ziała dziura wielkości plażowej piłki. W rogu pod oknem spali pijak i pijaczka – ona bezzębna, z nosem czarownicy. Jej Romeo leżał na plecach i świszczał. Giełdziarz wycofał się na korytarz.

Kolejne drzwi zasłaniał osmolony koc. Za nim znajdował się czarny pokój, rozjaśniony przez samotną świecę. Pomarańczowe światło padało na goły materac, stolik i trzech mężczyzn siedzących nad butelką wina. Giełdziarz zastukał w ścianę. Oddychał ustami.

– Proszę, proszę! – odezwał się pierwszy pijak. Miał złamany nos i dziurę w gardle. Mówił jak z dna wiadra.

– Szukam kogoś – rzekł Giełdziarz. – Rudego chłopaka o imieniu Brandon.

– Masz może fajka, przyjacielu? – odezwał się drugi pijak. Siedział na parapecie. Długie ręce wisały mu za kolana.

– Jasne – Giełdziarz wyciągnął paczkę.

– Mogę dwa?

Żyłasta ręka chwyciła go za przegub. Odrapaną twarz wyrosła przed Giełdziarzem. Odech pijaka przyprawiał o mdłości.

– Nie znam Brandona, ale szukał go już taki jeden facet. Jesteście z tej samej drużyny?

Giełdziarz zaprzeczył.

– No to uważaj mały. Ja tam wolałbym, żebyście byli.

Giełdziarz wypuścił paczkę z ręki i poszedł do wyjścia. Na korytarzu usłyszał wołanie człowieka po tracheotomii.

– Idź do końca i na lewo. Jeśli gdzieś da się mieszkać, to tylko tam.

Giełdziarz darował sobie podziękowanie. Marzył, by zabrać stąd Brandona i wypić spokojną wódkę. Ale gdy dotarł do ostatniego mieszkania po lewej, zrozumiał, że Wuj był tu pierwszy.

Tutaj na pewno mieszkał Brandon. Ściany i podłoga były brudne jak wszędzie, ale nie-

trudno było dostrzec, że ktoś dbał o czystość jedynej miski, materaca i półeczki na przybory do golenia. Śmieci (głównie kartony po mleku i konserwy rybne) zgromadzono w reklamówce najwyraźniej przygotowanej do wyniesienia.

Nietrudno też było dostrzec, że w pomieszczeniu rozegrała się walka. Materac stał wciśnięty pod ścianą. Jedną z książek ciśnięto w róg. Na brudnym tynku straszyla czerwona plama. Giełdziarz dotknął jej. Mokra.

Spóźnił się i po raz pierwszy, odkąd pamiętał, poczuł wstyd.

Przez materac biegła szrama, jakby ktoś wbił paznokcie głęboko w materiał i szarpnął. „Jeśli nie wiecie, jak wygląda prawdziwe gównno, to właśnie tak”. I chciał spadać, gnać do domu, zatrzasnąć tę sprawę, gdy zobaczył małego białego robaczka wijącego się między klepkami.

Biegnij, stary, biegnij. Przywyknij do tego.

Giełdziarz grał na komputerze przynajmniej trzy godziny dziennie. W takie wieczory wędrówka korytarzami z karabinem w dłoni wydłużała się do rana. Pił, grał i układał myśli. Od dwudziestej jego pikselowy żołnierz zastrzelił więcej Niemców niż wszyscy Francuzi na II wojnie światowej.

Dawno doszedł do wniosku, że bezbarwni ludzie wybierają gry o wysokim stopniu komplikacji – strategię czasu rzeczywistego z rozbudowanym wątkiem ekonomicznym albo gry *first person* w rodzaju „Deus Ex”, gdzie musisz znaleźć cztery klucze, dwadzieścia troje drzwi i terminal, nim kogoś ukatrupisz. Z drugiej strony, Giełdziarz znał koleśka, chudego teatrologa o twarzy najgorszej szui, którego w wieku dwudziestu sześciu lat okrzyknięto przyszłością krytyki i pieprzenia o scenie, ciskając pod nogi perły i granty. Koleś podchodził do stolika i pytał:

– Czy są jakieś gry dla odrażających, zdegenerowanych psychopatów?

Nim Giełdziarz zdążył zebrać myśli, koleś dodawał:

– I żeby nie trzeba było myśleć – po czym odchodził z „Serious Samem” albo „Maxem Payne” pod pachą, wzbogacając Giełdziarza i o piętnaście złotych, i o knajpianą historyjkę. To dzięki niemu Giełdziarz odkrył i uogólnił swoją – chyba jedyną w ogóle – teorię na temat związku gracza z grą, którą wybiera. Sam ciupał w najprostsze strzelanki, nie dorabiając do tego ideologii.

Po trzecim drinku odzyskał spokój. Siedział przy oknie i starał się ułożyć fakty. Jest na mieście dwóch świrów. Pierwszy, rudzielec

biegający po dachach i drugi, starzec wymiotujący robalami. Nic dziwnego, że Brandon bał się Wujka bardziej niż diabła.

Jeśli czemuś Giełdziarz się dziwił, to własnej głupocie. Spotkał Wujka i widział zdjęcie Brandona w jego ręce. Ten facet to pedofil.

„Tęsknię za nim jak za dziewczyną”.

Może krewny chłopaka. Brandon pewno jest młodszy, niż mówił.

„Mam trzy latka. Trzy i pół”.

I znajdował się pod opieką starego degenerata. Giełdziarz doszedł do wniosku, że Wuj musi być opiekunem prawnym Brandona. Chłopak nie wytrzymał, nawiązał z domu i skrył się w zrujnowanej kamienicy. Miał pecha, wybierając przyjaciół, ale gówniarze zawsze są tacy, szczególnie, jeśli trzymamy ich w szafie – tak zapewne postępował Wuj.

Zadzwoił telefon. Giełdziarz odebrał z wahaniem. Artur.

– No, cześć. Namierzyłem tego faceta.

– Jutro idę z tobą na randkę.

– Nie zgadniesz, kto rozlepił te kartki. Pamiętasz tego chudego metalu z giełdy, co go psiurnia zwinęła zeszłej niedzieli?

– To dopiero... Szpad – niespodziankom nie było końca. – Nie poturbowałeś go za mocno?

– Gość pracuje dla kogoś innego – wyjaśnił Artur. – Grałem głupka, ale wiem, gdzie

się spotykają. Jutro potrząsnę skurwielem i wszystkiego się dowiemy.

– Powiem ci lepszą rzecz. Ten mój kumpel, co o niego idzie sprawa, nie, wyparował.

– Nawiał – westchnął Artur.

– Prawdopodobnie zwinął go przyjaciel naszego przyjaciela.

– Wiesz coś o nim?

– Niewiele. To starszy gość. I popieprzony.

– No to masz problem z głowy, stary. Możesz szykować chochlę.

– Wedle uznania – odpowiedział Giełdziarz i odłożył słuchawkę. Usiadł przed komputerem, wrócił do gry, zapalił przekonany, że jutro sprawa wcale się nie zakończy.

Wuj czekał na Szpada i pił piwo. Gdy tylko chłopak się pojawił, wręczył mu pieniądze, informując, że koniec z robotą. Szpad był wyraźnie zawiedziony.

– Znalazł pan tego Brandona?

– Nie, powiedziałem, że koniec roboty na wieki wieków amen. Robimy sobie małą przerwę. Jesteś bystry i znajdziesz nową pracę. Jak będę potrzebował kogoś, będziesz pierwszym, po którego zadzwonię.

Szpad potarł koniec nosa. To zabawne – człowiek łapie byle robotę, złapie trochę grosza i zaraz myśli, że zawojuje świat. Witaj z powrotem na ziemi, maleńki. Dobrze, że chociaż tyle.

– Może przydam się do czegoś innego? Mógłbym, dajmy na to, chodzić po zakupy. Albo sprzątać mieszkanie z żoną.

Wuj uśmiechnął się szeroko.

– Twoim zdaniem, jestem zombiakiem?

– Nie chciałem tego powiedzieć.

– Wiem, chłopcze. Może w ten sposób: jestem stary, na oko mam trzysta lat, tak naprawdę, osiemdziesiąt jeden. W tym wieku jak raz się siądzie, to już się nie wstanie. Z łóżka przeniosą mnie do trumny. Jeszcze mogę ponieść siatkę i przygrzmocić laską, jak trzeba, nawet jeśli nie chcesz wierzyć. Odnośnie mieszkania, to pomyślimy. Na razie mogę postawić ci parę piw, żeby zmniejszyć twoje rozczarowanie.

Szpad miał ochotę na piwo, ale pamiętał o spotkaniu na Kleparzu o siódmej.

– No tak – skwitował Wuj odmowę – ktoś w domu musi być trzeźwy.

– Skąd pan to wie?

– Nie mówił mi pan tego? – Wuj zlizął pianę z brzegu kuffa. – Chyba tak. Na marginesie, zawsze miło mi się z panem rozmawiało, a jeśli nawet nie, to staram się wiedzieć to i owo o ludziach, z którymi pracuję. Jeśli kie-

dyś chciałby pan porozmawiać na ten temat, służę radą. Moim zdaniem, są dwa rozwiązania – albo gryzie ją coś związanego z konkretną sytuacją i wówczas powinien pan skoncentrować wszystkie swoje siły na odnalezieniu źródła tego smutku. Druga możliwość jest taka, że pana żona żyje z poczuciem zmarnowanego życia, mając na względzie również twoją osobę. Wówczas powinieneś zrobić wszystko, by zapewnić dobre życie dziecku, a żonę ukarać. Chociażby zabierając jej źródło utrzymania, czyli, mówiąc w skrócie, wnosząc o rozwód z jej winy.

– Skoro wie pan tak dużo, to wie pan zapewne o facecie, który czeka na mnie na Kleparzu.

Wuj zaprzeczył i Szpad streścił mu spotkanie z Arturem.

– Jeśli obawia się pan, że mam do pana jakieś pretensje, to zupełnie niepotrzebnie – oznaczył Wuj. – Postąpił pan w gruncie rzeczy rozsądnie, nie zapraszając go tutaj. Informowanie tego człowieka, gdzie się spotykamy, możemy co najwyżej nazwać przeoczeniem. Będzie jednak lepiej, jak pójdę. Tobie radzę wziąć taksówkę. Niebezpiecznie chodzić z taką forszą po nocy.

Wuj włożył swoją rękę w wyciągniętą dłoń Szpada, zostawił na stoliku pięć złotych i po-

wędrował do wyjścia. W drzwiach odwrócił się i zapytał:

– Pamiętasz komiks o Kajku i Kokoszu?

– Zajebisty.

– Wiem, że zajebisty. Czytałem go wnucze dziesiątki razy, jak była mała. I dobry kasztelan Mirmił dostał taki wierszyk: „Biada takiej oborze, w której krowa wołem orze”. I zastanawiał się, co to może znaczyć. Ty się nie zastanawiaj.

Artur nie pojechał na Kleparz. Obserwował z samochodu, jak Wuj rozmawia ze Szpadem i wychodzi z osiedlanki. Wuj szedł wyprostowany i wydał się Arturowi szalenie wysoki.

Począł, aż Wuj wejdzie głębiej między bloki i zaszedł go od tyłu.

– Dziadku...

Wuj nie zareagował. Artur szarpnął go za ramię, na tyle mocno, że staruszek powinien upaść. Wuj zachwiał się, wsparł na lasce i odwrócił powoli.

– Trudno to nazwać miłym powitaniem. Sądziłem, że będziesz na Kleparzu.

Artur obrzucił wzrokiem jego szary, ubłocony płaszcz, worek tłuszczu zwisający pod rzadką brodą, zapadnięte oczy i poczuł wstyd, że napastuje bezbronnego człowieka.

– Posłuchaj, dziadku. Nie jestem z tych, co biją staruszków. Powiedz, gdzie jest mój kumpel, pojedziemy tam razem i dam ci spokój.

– Nie wiedziałem, że znasz Brandona.

– To nie twoja rzecz.

– A jeśli odmówię, to co mi zrobisz? – zapytał spokojnie Wuj. Artur nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Powiedzmy, że nic miłego.

– Powiedz mi konkretnie, to pójdę z tobą.

– Dobrze – westchnął Artur – wyłamię parę palców, potem przejadę się po żebrach, a na koniec wpakuję ci laskę w dupę, dziadku. Ale uwierz, nie chcę tego robić, więc bierz się ze mną i nic ci nie będzie.

– Naprawdę? – uśmiechnięta twarz Wuja przypominała księżyc w pełni. – Zastanawiałeś się, co by o tym powiedział Ojciec Święty?

Laska zatoczyła łuk. Są dwa miejsca, na które nie ma mocnych: nasada nosa i podbródek. Nawet tak duży gość pada na ziemię, gdy dostaje między oczy. Artur runął jak golem, któremu starto magiczne imię z czoła.

Obudził się dziesięć minut później. Wuj kuczał naprzeciw, wsparty o lasce i znów wyglądał jak zwyczajny staruszek. Artur spróbował się ruszyć. Przywiązano go do drzewa. Spojrzał po sobie. Siedział po kolana w śniegu.

– Możemy kontynuować rozmowę, jeśli chcesz.

Artur przygryzł wargi. Rozejrzał się po okolicy. Zapomniany zaułek zapomnianego osiedla. Możesz krzyczeć do woli. Prędej wyplujesz krtań, nim ktoś się zjawi.

– O co ci chodzi?

– Zabawne – rzekł Wuj – sam zadaje sobie to pytanie. Wracam z piwa i zostaję napadnięty. Czy zrobiłem ci coś złego? Skrzywdziłem w jakiś sposób kogoś z twoich przyjaciół? Czym sobie zasłużyłem na tę sytuację?

– Porwałeś chłopaka.

– A to dopiero – Wuj obracał laską i Artur dostrzegł ostre, metalowe zwieńczenie. – Nie uprowadziłem żadnego chłopaka. Ciekaw jestem, kto ci o tym powiedział?

Artur pojął, że stracił kolejny punkt. Dwa do zera. Prowadzi Wuj.

– Takie słuchy chodzą po osiedlu. Prosiłbym cię o niewielką przysługę. Nie lubię niewyjaśnionych spraw. Opowiedz mi szybko o swoim przyjacielu i rozstaniemy się we wzajemnym zrozumieniu. Chyba nie obawiasz się, że zrobię mu krzywdę. Mam osiemdziesiąt jeden lat i przeraża mnie własny zwieracz.

– Jestem tu we własnej sprawie – skłamał Artur. Rozglądał się, wypatrując pomocy.

Otaczały ich drzewa, śmietnik i ściana bez okien. Wkoło walały się butelki.

– Daj spokój. Oszczędzisz sobie czasu i zimna. Widać, że jesteś chłopcem na posyłki. To jak będzie?

Artur zebrał resztki odwagi i poradził Wujowi, aby wsadził sobie łaskę w dupę.

– Jak sobie chcesz – powiedział Wuj spokojnie. Przetrzęsął mu kieszenie. Lucky strike w miękkiej paczce, portfel, dowód osobisty, kluczyki od samochodu z brelokiem w kształcie czaszki, komórka i notes poleciały na śnieg. Wuj bawił się zapalniczką. Z wahaniem wyjął papierosa, włożył w usta, zapalił.

– Pierwszy od dwudziestu lat. Uwierzyłbyś? W pewnym wieku nie obawiasz się śmierci.

Wylał benzynę z zapalniczki na twarz Artura.

Mężczyzna zacisnął powieki. Po chwili otworzył oczy i zobaczył twarz Wuję, z wetkniętym papierosem, tuż przed sobą. Wuj zbliżył lucky strike'a do policzka Artura.

– To nie będzie przyjemne.

– Wygrałeś – Artur myślał tylko o sobie – ale niewiele wiem. To mój kumpel z giełdy. Giełdziarz. Taką ma ksywkę.

– Mogłem się tego spodziewać – rzekł Wuj. – Jak naprawdę nazywa się ten facet?

– Nie wiem – jęczał Artur. Papieros płonął mu przed okiem. – Naprawdę nie wiem. Na

giełdzie nikt się nie przedstawia. Powiedziałem ci dość... Puść mnie człowieku, proszę...

– Gdzie mieszka? – Wuj bawił się papierosem. Czerwony punkcik kreślił ósemki przed przerażonym Arturem.

– Dwa osiedla dalej. Co, mam ci adres powiedzieć? Blok chyba czterdzieści dwa. Tyle wiem... Ostatnie piętro. Jest domofon. Jak wygląda? Chryste, odsuń to trochę, to ci powiem.

Wuj spełnił prośbę.

– Jest szczupły. Blondyn, pociągła twarz. Bez okularów. Nosi dzinsy. Ma czarną kurtkę Ecco. Podróbka, jak chcesz wiedzieć. I polar Adidasa. Nie ma czyraka na czole, blizny, niczego, co go wyróżnia. Koleś jak inni. Wiesz już dosyć, skurwysynu? Wiesz już dosyć?

Ku radości Artura, Wuj wstał i zgasił papierosa pod butem.

– Nie dość, ale już sporo. Serdecznie ci dziękuję i mam nadzieję, że nigdy się nie spotkamy.

Otrzeptał płaszcz ze śniegu i wsparty na łasce pokuśtykał w stronę bloków.

– Hej! Hej! – wrzasnął Artur. – Przecież mnie samego nie zostawisz!

– Broń Boże – rzucił Wuj przez ramię. – Zostawiam cię tutaj z ludzkim miłosierdziem.

Na twarz Artura spadł płatek śniegu.

Podobno marznie się bardziej idąc, niż stojąc. Gdy pozostajesz nieruchomy, powietrze wokoło ogrzewa się i korzystasz z tego ciepła. Jeśli Artur wiedział o tym, niewiele mu to pomogło, bo co może pomóc, gdy gardło przemarza od krzyku, a lód zjada nogi, miazdży stawy, wgryza się pod paznokcie, zamienia oczy w srebrzyste świecidełka?

Nie myśl o niczym i nie próbuj żałować.

Dookoła ciemność – światła, samochody, domy, drzewa i koty wpadły do jednej zupy. Tylko śnieg przewala się wkoło, spływa z fioletowego nieba, śmiercionośny puch. Przysiada na wardze, rozpływa się. Powyżej Bóg mieszka w kotle skłębionej chmury. Ruch nogą i kupa śniegu wzbija się w górę. To jak szklana kula z domkiem w środku – śnieg opada nieubłaganie. Która może być godzina, że jest tak cicho? Krzyczeć już nie można. W gardle siedzi Dziadek Mróz. Druga noga nie chce drgnąć. Do rąk wlano ołów. Trzeba znieruchomieć, przeczekać, oszczędzać oddech na późnego spacerowicza. Dwadzieścia osiem lat.

Skoro skazano nas na bezruch, wędrujemy do środka. Nie myślimy o niczym, nie chcemy żałować. Mijamy pierwsze stoliki ze wspomnieniami z dzieciństwa, ale, powiedzmy to sobie, tu leży kupa. Baba w chuście sprzeda-

je zabawki, starszy facet górkę i sanki, mały chłopczyk morze i wielką plażową piłkę. Więc chodźmy dalej.

Główny korytarz prowadzi do hali. Wkoło zapchane stoiska. Jest nasza dziewczyna, jak zwykle śliczna i trochę smutna, bo nie wrócimy już do domu, dalej rodzice, nieświadomi, z czego żył ich synek, Czarny biedzi się nad płytami, wreszcie Giełdziarz z kotem na ramieniu, składa jakąś kretyńską układankę. Pomachajmy mu. Giełdziarz podnosi głowę. Usta wyginają się. Znowu pokpiłeś sprawę.

Boże, tu jest miniaturowa knajpa i parę dziwek, które można by przelecieć, gdyby kutas nie zmienił się w sopel. Więc wędrujemy dalej. Oto hala, ciemna i brzydka. Centrum giełdy. Tutaj są rzeczy, których żałujemy. A jeśli, stojąc w wejściu, spojrzymy pod nogi, zobaczymy mały biały przedmiot.

To wacik, taki jaki wkładamy do nosa, by powstrzymać krwawienie po nazbyt hojnym rączeniu się kokainą.

Tam nie czeka nas nic przyjemnego. Otwórzmy lepiej oczy.

Czas wybrać się na wycieczkę, zamiast rozdziawiać idiotycznie gębę. Nie myśl o niczym i nie próbuj żałować.

Rozdział czwarty,

w którym Giełdziarz dowiadyuje się
wielu istotnych rzeczy o kobietach,
przyjaciołach, a przede
wszystkim o sobie

*Very Groovy Boots... I think she's ready to go-go
Very Groovy Boots... I think I'll tell her so
I like the way she moves
I love the way she grooves
...in Very Groovy Boots... go, baby, go-go!
Electric Hellfire Club*

Kiedy spotykamy się z czymś miłym, dzwoni-
my do dziewczyny. Trudności każą iść do
przyjaciela. Czarny mieszkał w zapomnianej
przez Boga i diabła kamienicy w Podgórzu. Je-
go klitkę wypełniały płyty i rzeźby. Z pół-
czek na kwiaty straszły czarne diabły.

– Znalaziono go dopiero w południe.
Uwierzyłbyś? – Giełdziarz zgiął się na krześle.
– Tkwił w śniegu, ludzie mijali go, srały na
niego psy i dopiero o dwunastej... Jezus Maria!

– Dobrze, że nie robili sobie zdjęć z tru-
pem – odparł Czarny. – Wiesz, jacy są ludzie.

Giełdziarz podniósł na Czarnego podkrą-
żone oczy.

- Znasz sytuację.
- Nie mów, że obwiniasz się o jego śmierć.
- Nie tylko o to. Popatrz. Przychodzi do mnie facet i błaga o pomoc. Odmawiam mu. Każdy by odmówił, bo myślę: „ociąpiła bidula z biedy i samotności”. Parę godzin później faceta wcina amba. Proszę Artura, by zajął się tą sprawą i znajdujemy go zamarniętego. Tak, wiem, zamarzył przypadkiem. A wcześniej – Giełdziarz oddychał ciężko – obił sobie mordę, a potem się związał.
- Myślę, że człowiek taki jak Artur wie, w co wchodzi – Czarny z trudem maskował smutek – i nie powinieneś mieć do siebie żalu.
- Powiem ci jedno. Chcę dorwać tego skurwysyna.
- Jak na niego wołasz? Dziadunio?
- Wuj.
- No więc Wuj. Są dwie drogi. Pierwszą jest człowiek, o którym mi mówiłeś. Ten Szpad. Źródło pewne, tylko trzeba je przykręcić – Czarny wykonał ruch, jakby otwierał butelkę.
- Drugą są rzeczy Brandona, które zapewne masz w mieszkaniu.
- Nic nie zostawił.
- Ależ zostawił – Czarny usiadł obok Giełdziarza. – Mówiłeś, że układankę znał na pamięć. Wniosek prosty, musiał układać ją wcześ-

niej. Układanka i świecznik pochodzą z tego samego źródła.

Giełdziarz przypomniał sobie, że Brandon z uwagą oglądał świecznik.

– No widzisz – Czarny wyraźnie się ożywił. – Drogi może być taki świecznik?

– Jest stary i srebrny.

– Bingo. Czyli można go opchnąć. Na twoim miejscu posłużyłbym się metodą naszego przyjaciela. Ogłoszenia. Niewiele stracimy, a ktoś zgłosi się po ten świecznik. Brandon albo, co pewniejsze, ktoś od Brandona. Może sam Wuj. Mówisz, że ten Wuj to pedzio i chłopak nawiał od niego?

– Tylko przypuszczenia.

– No dobrze. Co robi chłopak, który chce nawiać z domu? Przy założeniu, że jest bez kasy? Zgarnia z domu parę cenniejszych rzeczy i zanosz tam, gdzie może je szybko sprzedać, choćby i za jedną dziesiątą ceny, łapiesz? Wuj może chcieć odzyskać swoje rzeczy.

Giełdziarz zbierał myśli. Wodził oczyma po diablach wyrzeźbionych przez Czarnego w glinie, wielkiej mandali nad łóżkiem, magicznych figurkach i worku na kryształ, zawieszonym na gwoździu przy płytach. Cała sytuacja wydała mu się niedorzeczna.

– Pięknie. Czarny, posłuchaj ty mnie teraz – próbował zrobić minę gderliwego profesora

ra. – Najpierw spotykam w publicznym sra-
czu gościa, który wymiotuje robakami. Fakt
numer jeden. Kupuję świecznik i znajduję
układankę. Fakt numer dwa. Faktem numer
trzy jest kolega Brandon i jego lęk przed
gościem wymienionym w faktcie numer je-
den. Tak? Dla Wujka pracuje koleś z mojego
stolika, to fakt numer cztery. Nie za dużo
trochę tego? Te wszystkie wydarzenia brałem
do niedawna za te, no... Kurwa, szukam sło-
wa...

– Niepowiązane – podrzucił Czarny.

– Dokładnie. Czemuś ty na studia nie
poszedł? Już wtedy byłoby to wszystko trochę
dziwne. A teraz nagle wszystko się wiąże i po-
wiem ci szczerze, że wiąże się na mojej dupie.
Co mi się ani chuja nie podoba.

– No to widzisz. Wniosek jest jeden, że
naprawdę chodzi o ciebie.

– Bzdura – rzekł zakłopotany Giełdziarz. –
Wyobraź sobie, że teraz mówię: „OK, pierdo-
łę”. Nie obchodzi mnie zaginiony kumpel.
Pierdę na grób Artura. Szpada olewam cie-
płym moczem i zapominam o Wuju, co nie jest
trudne, bo faceta widziałem raz w życiu, jeś-
li oczywiście to on był w tym sra-czu. I wiesz,
co się dzieje? Pomyśl, Czarny.

Czarny stał nad stolikiem i mieszał herba-
tę. Ze szczerym współczuciem na twarzy przy-

pominał dobrego łotra, zdjętego cudownie
z krzyża.

– No, zabij mnie, nie wiem.

– Właśnie, chuja się dzieje. Sprawy nie
ma – strzelił palcami – ot tak! Wszystko się
toczy jak zawsze.

– Tylko na giełdzie pusto – Czarny podał
mu herbatę – więc może chodzi o to, aby
zmusić cię do działania. Właśnie ciebie. Żebyś
wyszedł ze swojej nory. Zdecydował w jakiejś
sprawie. Pokazał, że na czymś ci zależy.

– Pomyliłeś kościoty.

– Tylko głośno myślę. Jasne, nie musisz
tego słuchać. Nie wiem, co tu jest grane. Ale
tylko to przychodzi mi do głowy. Zawsze
śmiałeś się, a ja ci powiem, że na świecie są
siły, które ja przeczuwam, a na które ty wypi-
nasz dupę. I może one rozdają tutaj karty.

Dostrzegł pogardę w oczach Giełdziarza.

– Myśl sobie, co chcesz. Mówisz, że za
wszystko odpowiada ten twój Wuj. Staruszek,
który rozłożył takiego byka jak Artur. Artur
łamał ludziom ręce na krawężniku. A twój
starzec już pierdzi śmiercią. Powiem ci jeszcze
jedno. Na twoim miejscu ułożyłbym ukła-
danke.

– Co mi to da?

– Spokój i szansę na zebranie myśli, to na
stówę – Czarny starał się mówić swobodnie,

nie wpadać w mentorski ton. – Pewne rzeczy może się odsłonią. A jeśli zrobiono ją na zamówienie, ze zdjęcia, to jest szansa, że złapiemy ślad, który doprowadzi nas do celu. I skopie my dupę Wujowi, bo przecież o to tu chodzi.

– Wolę zabrać się za Szpada. Pomyślę o świeczniku – Giełdziarz odstawił herbatę. – Dzięki za radę.

– Nie zapominaj – rzekł poważnie Czarny – od tej chwili to jest nasza sprawa. Jestem w tym tak samo jak ty – ze względu na Artura. Artur dojechał Szpada i jak to się skończyło? Artur spieprzył sprawę. Ja bym się za to wziął od innej strony. Żona Szpada podobno chleje dzień w dzień. Widziałem ją w klubie „Piękny Pies” na Jana. Podobno siedzi tam codziennie. Przysiądź się, pogadaj. Może coś wyciągniesz.

– Nie zapominasz o czymś? – ofuknął go Giełdziarz.

– No tak. Monika... Nikt nie każe ci brać jej na chatę. Pogadaj, może wyciągniesz coś od pijanej. I koniecznie pokombinuj z tym świecznikiem.

– Czemu ty się za nią nie zabierzesz?

– Czytałem ostatnio, że metale po trzydziestce coraz rzadziej biegają za symbol seksu. Co innego ty, nasz giełdowy Casanova.

– Spierdalaj.

– Też się nie puszczaj.

Czarny wyciągnął rękę i Giełdziarz uściśnął ją mocno. Zrobili misia i Giełdziarz miał wrażenie, że zaraz pójda mu zebra.

Powinieneś ułożyć układankę. Łatwo powiedzieć. Czarny, wpadnij na chwilę, zrób swoje czary-mary i niech kawałki posklecają się same. Żarty żartami, ale tak źle jeszcze nie było. Giełdziarz tęsknił za Moniką. Nie można zrobić głupszego kroku, niż oczekiwać wsparcia od kobiety. Giełdziarz myślał o jej drobnej dłoni, śmigającej nad układanką. Tak poszłoby szybciej. Jezus Maria, to robota dla całej kompanii.

Ślęczał nad układanką od piątej.

Dochodziła jedenasta.

Jeśli w tym obrazku ukryta jest prawda, jej odkrywaniu powinien towarzyszyć dreszcz emocji, drzenie przed spotkaniem z nieznanym, bicie serca u dziecka nad gwiazdkowym prezentem – nazwijcie to, jak chcecie, Giełdziarz był po prostu wkurwiony. Podejrzewał, że gnojek z giełdy pogubił część elementów. Ułożył sylwetkę faceta, bez głowy i lewej nogi. Facet trzymał na rękach kota. Dachowiec, z wąsami jak druty, patrzył bezczelnie na Giełdziarza.

Zrobił sobie drinka. W kolanach ciążył ołów. Schodził cały dzień, rozlepiając ogłoszenia. Obskoczył wszystkie redakcje. „Znaleziono antyczny świecznik. Znalazca nie oczekuje nagrody”. I numer telefonu. Cała historia zakończy się wizytą tabunu kolekcjonerów sztuki. Obsiądą cię jak sępy, wyniosą świecznik razem z matką i dziewczyną. Zastrana rasa.

Giełdziarz kłął na czym świat stoi, wypił szybko drinka i zamówił taksówkę pod „Pięknego Psa”.

Wyobraźmy sobie zabawę – każda knajpa jest psem. Dyskoteka dla bananowych chłopców z Szewskiej to kundel, którego starają się przerobić na rasowca – zupełnie jak robił to dobry wojak Szwejk. Jeżdżą pędzlem po mordzie, tną uszy na żywca, szczotkują i wlewają setkę rumu w gardło, żeby zwierzak się ożywił, nabrał sympatii do świata i nie rozszarpał nabywcy przed zakupem.

„Tower” u wylotu Grodzkiej to knajpa dla metali, dumnych zwycięzców siedzących w piątkę nad jednym piwem, o sokolim wzroku – paczkę papierosów wypatrzą na trzy stoliki. Ta knajpa to czarny pinczer z oczyma jak koła młyńskie, krzywymi łapami i wiecznie rozwartym pyskiem. Pinczer ujada, oszalały z nienawiści do każdego, kto chce go nakarmić.

„Kulturalny” jest psem, z którego śmiercią trudno się pogodzić. Piękny był, pewnie szpic, podpalany i zawsze wesoły. Teraz wypchano go, wepchnięto kółka w łapy, postawiono przed miską i dalej: głaszczemy, czeszemy, ganiamy po weterynarzach, a nade wszystko, chwalimy się, głosimy, jaki ten Bóg jest dobry, że zesłał na ziemię takie cudowne zwierzę. Nabierają się tylko dzieci i starcy.

Wreszcie, „Piękny Pies” na Jana. Knajpa artystów, którzy nawiali z „Kulturalnego” w obawie przed przygnieceniem przez truchło. Pies jest piękny, rudy, rozszczekany i kudłaty. Ujada, bo wie, że to najlepsze lata w krótkim życiu. Łasi się do każdego, czochra o nogi, zrzuca pchły. Pies-świnia. Najbardziej lubi surowe mięso.

Tak myślał Giełdziarz, stojąc w bramie obok i paląc lufę. Nie znosił artystów. „Piękny Pies” jest sklepem przerobionym na knajpę – szyby wystawowe zostały i można obserwować ludzi przy stolikach. Giełdziarz dostrzegł Agnieszkę, minął ją i zamówił piwo. Udał, że szuka miejsca. Ludzie wokoło napawali go obrzydzeniem.

– Hej, cześć!

Agnieszka go nie rozpoznała. Zbliżył się, postawił piwo na stoliku. Dziewczyna była w pesteczkę pijana. Siedziała z koleżanką.

– Jestem kumplem twojego męża. Wołają na mnie Giełdziarz.

– Michał mówił mi o tobie.

– Niestety, to wszystko prawda – rzekł wesoło Giełdziarz. – Można na chwilę? Wracam z miasta i wpadłem na jedno.

Agnieszka zgodziła się niechętnie. Giełdziarz przedstawił się koleżance (dziewczynie z garbatym nosem i zimnymi, złymi oczami). Zapadła kłopotliwa cisza.

– Dziwnie tutaj – rzekł Giełdziarz. – Często tu przychodzicie?

– Dosyć.

– Co to za miejsce? Rozdają tu autografy? – wskazał na dwóch facetów w golfach przy stoliku obok.

– Muszę już iść – obwieściła koleżanka o złych oczach. Agnieszka usiłowała ją powstrzymać. Ucałowały się na pożegnanie. Dziewczyna obrzuciła Giełdziarza pogardliwym spojrzeniem.

– Nie gniewaj się na nią – poprosiła Agnieszka – to dobry człowiek, ale ma przewrócone w głowie. Wszystko w życiu przygotowywało ją na to, by zaczęła tu przychodzić. Córka artystów. Poetka.

Giełdziarz bawił się suwakiem od polaru.

– Dla mnie to bez różnicy – rzekł Giełdziarz – dopóki ktoś się nie wywyższa, może być, kim chce.

– Wiesz, czasem sobie myślę, że oni wszyscy... Bo wiesz, co drugi stolik to malarz albo poeta. Więc oni wszyscy tu przychodzą. Bo są kimś tu, w tej knajpie. Poznaje się ich. Barman patrzy z uznaniem. Głupie dziewczyny, jak ta przed chwilą, wodzą za nimi oczyma. A potem wychodzą na ulicę i nie ma. Giną w tłumie. Są nieistotni. Bo kogo naprawdę to obchodzi?

Zanosilo się na dłuższy monolog.

– Lepiej powiedz, co u Michała – przerwał Giełdziarz.

– Wiesz, że zwinęli go z giełdy?

– Niestety, tak. Nie mogłem nic poradzić. Spróbuję mu załatwić powrót, ale to nie takie proste. Raz zwinęty jest spalony. Ale Michał nie dał plamy i...

– Co przez to rozumiesz? – wysapała Agnieszka. „Rozumiesz” brzmiało jak „rozuzesz”.

– Nie zakablował mnie. Dlatego postaram się pomóc mu. Ma jakąś pracę?

– Dorywczą. Robi u jakiegoś dziwnego faceta.

– Postawić ci piwo?

Agnieszka nie odmówiła. Jej drobna, śliczna główka kołysała się nad stolikiem jak księżyc odbity w wodzie. Giełdziarz postawił przed nią kufel i obiecał sobie, że odwiezie dziewczynę do domu.

– Dziwnie to zabrzmiało – zagaił. – Co to za facet?

– Michał niewiele o nim mówił. Spotyka się z nim w osiedlance na Wrocławskiej. Nazywa go Wujem, ale nie są krewnymi. Podobno gość jest dobrze szurnięty. Boję się, żeby nie wszedł w jakieś gówno.

– Może powinnaś być przy nim. A nie tutaj.

Agnieszka spuściła głowę.

– Dziękuję za troskę. Gdyby nie dziecko, wszystko byłoby inaczej. Może pokochałabym go, jak powinnam. Nie miałam czasu, by to przemyśleć. Nie miałam czasu wybrać, wiesz, kiedy wchodzimy w dorosłość, myślimy „chcę zrobić to, a tamto nie”.

– Mój kumpel mówi, że każdy powinien zapytać siebie, o tak: „czy stać cię na twoje marzenie?”

– Bardzo ładne – policzki Agnieszki zmiął pijacki uśmiech. – A ja nawet o to nie pytałam. Za szybko wszystko się stało. I nie ma kogo winić. Nie Michała, nie mnie, nie ten świat, nie Boga. Stało się. Przepraszam, że o tym mówię. Czasem lepiej wyzalić się obcemu – powiedziała.

– Nie jestem obcy. Jestem przyjacielem Michała, ale wszystko, co powiesz, zostanie między nami.

Wyciągnęła rękę na stół i Giełdziarz ujął ją delikatnie, po przyjacielsku. Była zimna.

– Przy okazji – zagadnął Wuj – jak się ma twój dzieciak?

– Mama z nim została – odparł Szpad. Wuj pokiwał głową.

– Myślę, że widziałeś dosyć, by wyrobić sobie zdanie o tym facecie. – Stali w cieniu, przed „Pięknym Psem”.

– Chodźmy stąd – Szpad splunął na ziemię. Chciał rozerwać Giełdziarza na strzępy.

Ruszyli w stronę dworca.

– To twoja sprawa, choć ten facet też załazł mi za skórę. Chcesz skopać mu dupę? Świetnie. Plan jest taki.

Wuj mówił długo, a oczy Szpada stawały się szersze i szersze.

– Myślisz, że to go załatwi? – Szepnął.

– Na cacy – zapewnił Wuj. – Potem jeszcze ja z nim porozmawiam. Nie bój się, nic mu nie zrobię. Wiem o nim coś, czego on nawet nie przeczuwa.

Giełdziarz wrócił do domu na zdrowym cyku. Stał chwilę przed blokiem, patrzył na piorunochron i myślał o żonie Szpada. Była ładna, na swój sposób nawet sympatyczna i żałował, że spotkał ją taki los. Niektórzy ludzie

mogą pracować do zdarcia skóry z palców. Ich ręce będą czerwone jak wieczorne słońce, głowa poraniona i nie dojdą do niczego. Stoją na pierwszym szczeblu drabiny i kombinują, jak by nie zsunąć się w dół. Można żałować Szpada, wylać wiadro łez nad jego żoną, ale dziewczyna miała oczy i widziała, kogo bierze. Może mieć pretensje tylko do siebie. „Właśnie, otóż to”, pomyślał Giełdziarz i sięgnął po klucze. „Mogę kopsnąć jej współczucie”.

Przekręcił klucz.

Mała zabawa. Jesteś teraz Agnieszką Szpadową. Czy chciałbyś, aby Giełdziarz ci współczuł? Czy można być jeszcze niżej niż człowiek, któremu współczuje Giełdziarz?

A czy Brandon miał kiedyś dziewczynę (oprócz Wuja)?

Giełdziarz wszedł do windy.

Zabijcie mnie, jeśli Monika jutro zadzwoni i powie: „jestem w ciąży”, powiem: „spoko, wchodzę w to”. Dragi odstawię na półkę. Przeszanę pić i zabiorę się za nowe wyzwanie. Zbuduję dom. Można pierdolić pod nosem, że wyzwanie to przegonienie innych fiutów w wyścigu do michy, łożenie po ośmiotysięcznikach albo zaliczenie najładniejszej panienki w knajpie. Gównu. Srać na takie banialuki. Spróbujcie założyć rodzinę, postawcie sobie za punkt honoru: „mój syn nie będzie Giełdziarzem ani

Szpadem”. Ale ja jestem gotowy. Z tą dziewczyną, tu i teraz. Wypiłem sporo i najchętniej zasnąłbym tu, w windzie. Ale mówię szczerze, więc spadaj bucu, jebany przez Żydów, Arabów i antysemitów.

Giełdziarz był tak pijany, że długo celował w ostatni przycisk. Winda ruszyła. Oparł się o lustro, przymknął oczy. Myślał o łóżku i Brandonie zagląającym przez okno. Między drugim a trzecim piętrem winda stanęła. Giełdziarz zaklął i zaczął się tłuc. Dźwig pamiętał Gomułkę, miał prawo spieprzyć się w każdej chwili, ale tu i teraz to, panowie, jest skurwysyństwo. Kumulacja pecha.

– Hej! Hej! – wrzeszczał Giełdziarz. – Utknąłem!

Przy dobrych wiatrach zostanie tu do rana.

Nacisnął alarm i zgasło światło. Wściekły Giełdziarz uderzał o ściany, podskakiwał, zdierał gardło, wreszcie oparł spocone plecy o lustro i poszukał fajek. Wracając z knajpy, zostawił jedną na rano. Włożył chesterfielda w usta i odetchnął. Było zupełnie ciemno – pijany Giełdziarz czuł się jak nurek zagubiony w oceanicznej jaskini. Odnalazł zapalniczkę.

Przed nim, spowity pomarańczowym światłem, stał Brandon.

– Ciebie nie ma – powiedział Giełdziarz.

– Ciebie nie ma – powtórzył Brandon.

Twarz miał białą jak pośmiertna maska.
Winda ruszyła.
Znowu było jasno.
Brandon zniknął. Giełdziarz kuczał w rogu.
– Przepraszam, stary – szepnął – jakkolwiek by to nie brzmiało.

– Dziewczyna Szpada nie wypaliła. – Giełdziarz siedział na klozecie, trzymał bezprzewodowy telefon i przeglądał wymiętego „Chi-pa”. – Nie puściła farby. Zresztą, chyba nic nie wie.

– Miło było? – spytał Czarny.

– Sympatycznie, ale nie tak, jak myślisz. Zależy mi na Monice, jak już musisz wiedzieć, zresztą, to biedna dziewczyna. Ta żona Szpada.

– Gdybym był żoną Szpada, chyba bym hopnął się o ścianę.

– Trafna uwaga. Powiem ci coś lepszego. Z ogłoszeniami to był strzał w dziesiątkę. Wczoraj...

– Znowu rozmawiasz na kiblu.

– Niiieeee. To znaczy tak. Nie moja wina, że zawsze wtedy dzwonicz.

– I tak właśnie robisz? Bierzesz telefon z widełek czy stamtąd, gdzie akurat stoi i he-

ja! do sracza. Czekasz, aż zadzwonię. Co to za wiadomość?

– Pomysł z ogłoszeniami wypalił. Odezwała się jakaś babka. Jestem umówiony jutro w „Europejskiej”.

– Brawo. Nie wykręć jakiegoś numeru.

– Niby jakiego?

– No, ja nie wiem, Giełdziarz. Jak ty właściwie masz na imię?

Giełdziarz oderwał papier, tak, by Czarny to usłyszał.

– Giełdziarz. Dla ciebie pan Giełdziarz.

Jeśli prawnicy są najgorsi, to artyści są za nimi o jedną długość. „Europejska” to ekskluzywny lokal dla zombich. Jeśli chcesz robić w tak gównianym gatunku jak horror, odwiedź tę restaurację. Wrócisz z pomysłem na powieść. „Ta historia mogła zacząć się od tego”, pomyślał Giełdziarz, biorąc piwo od kelnera.

– To z panem się umówiłam? – zapytała Bardzo Brzydka Dziewczyna. Giełdziarz przytaknął. Przyjaciele artystów są jeszcze na miejscu punktowanym.

– Jestem Gabrysia.

Przypominała pszczołę. Jasne włosy, szczupła talia i wielki odwłok.

ERROR: ioerror
OFFENDING COMMAND: image
STACK: